

MAGAZYN *razem z dodatkami*

- Młodzi dorośli, czyli nie ma jak u mamy... ● Dajmy Dębowi Bartkowi godnie umrzeć
- Ile jest warte życie psa i kota? Animalsi w sądach ● Janosik wrócił do Częstochowy

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV



GŁOS DZIENNIK POMORZA POMORZA

Piątek
7.11.2025

Nr 259 (5716)
Nakład: 9.790 egz.

www.gp24.pl
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

W Słupsku rośnie młode pokolenie filatelistów



Danuta Ziętara
– prezes
Okręgu
Koszalińskiego
Polskiego
Związku
Filatelistów
opowiada, jak
udaje się jej
zainteresować
młodzież
analogowym
hobby
**TYGODNIK
REGIONÓW – STR. 14**

Słupsk. Liderzy
Związku Miast Bałtyc-
kich dyskutowali
o przyszłości w obliczu
wyzwań **str. 3**

Słupsk. Petycja
do pani prezydent.
Prośba o kontenery
na odzież
str. 4

Słupsk. Dr Marcin
Klim otrzymał tytuł
eksperta Da Vinci
str. 4

Nr ISSN 0137-9526

Nr indeksu 348-570



„Heweliusz”
wszedł właśnie na Netflix
TYGODNIK REGIONÓW – STR. 12-13



REKLAMA

0011409011

18+

BIG ZDRAP
WYGRAJ 1 000 000 zł

Koralowa
WYGRAJ 200 000 zł

**CAŁY NARÓD
DRAPIE ZDRAPKI**

SZCZĘŚLIWA LICZBA 13
WYGRAJ 234 000 zł

RUBINOWA
WYGRAJ 214 000 zł

LOTTO
Gdy grasz,
wszystko gra!

**Podaruj radość
WYGRYWANIA**

**DRAPIJ NAWET
1 000 000 ZŁ**

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA

● Magdalena Popławska żyje na swoich zasadach

PONIEDZIAŁEK

● Sportowy24: Grali na boiskach, grali na parkietach

ŚRODA

● Strona Zdrowia: Rak płuc to groźny przeciwnik

CZWARTEK

● Pod Paragrafem: Przedwojenne żydowskie gangi

PIĄTEK

● Puls i Tygodnik Regionów. Teksty ze znakiem jakości

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 94 340 11 14, mail prenumerata.gdp@polskapress.pl, na stronie prenumerata.gp24.pl

KALENDARIUM

7 LISTOPADA POLSKA

1575

Rozpoczął obrady Sejm elekcyjny, który wybrał na króla Stefana Batorego.

1939

Gubernator Hans Frank zamieszkał na Wawelu.

1939

Premier RP na uchodźstwie gen. Władysław Sikorski został mianowany przez prezydenta Władysława Raczkiewicza Naczelnym Wodzem i Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych.

1964

Seryjny morderca Zdzisław Marchwicki („Wampir z Zagłębia”) zamordował w Dąbrowie Małej swą pierwszą ofiarę.

1968

Premiera filmu Lalka w reżyserii Wojciecha Jerzego Hasa.

1981

Płk Ryszard Kukliński został ewakuowany z Polski przez funkcjonariuszy CIA.

ŚWIAT

1801

W Paryżu włoski fizyk i wynalazca Alessandro Volta zdemontował francuskim akademikom i Napoleonowi Bonapartemu działanie swego ogniwa elektrycznego.

1907

Pracownik kolei Jesus Garcia Corona wyjechał z meksykańskiego miasta Nacozari de Garcia płonącym pociągiem przewożącym dynamit, prawdopodobnie ratując życie wielu osób. Po minięciu dwóch ostatnich domów doszło do eksplozji, w wyniku której zginęło 13 osób, w tym Corona, którego ciała nie odnaleziono.

1911

Maria Skłodowska-Curie została ogłoszona laureatką Nagrody Nobla w dziedzinie chemii.

1917

Krażownik „Aurora” oddał wystrzał dając tym sygnał do rozpoczęcia rewolucji październikowej w Rosji.

1941

Front wschodni: z okazji 24. rocznicy rewolucji październikowej w Moskwie odbyła się defilada Armii Czerwonej, po zakończeniu której wszystkie biorące w niej udział oddziały wyruszyły na front.

1957

W fabryce w Zwickau z linii produkcyjnej zjechał pierwszy Trabant.

Handel narkotykami przeniósł się do sieci – zarówno do internetu, jak i darknetu

Mira Suchodolska
Rozmowa

Z Michałem Aleksandrowiczem, naczelnikiem Wydziału do Zwalczania Zorganizowanej Przestępczości Narkotykowej Centralnego Biura Śledczego Policji

Czy wciąż głównym miejscem handlu narkotykami w Polsce jest internet?

Tak, w dużej mierze. Handel detaliczny przeniósł się do sieci – zarówno do otwartego internetu, jak i darknetu. Wykorzystywane są też komunikatory, bo umożliwiają szybką wymianę informacji i płatności, np. Telegram. Nie oznacza to jednak, że klasyczna uliczna sprzedaż zanikła, wciąż istnieje, ale jej udział w rynku spada.

W jaki sposób narkotyki docierają do odbiorców?

Używane są różne formy przesyłek, również automaty paczkowe i usługi kurierskie. Nie ma powodu stygmatyzować konkretnych firm. To po prostu wygodne narzędzia logistyczne. Dla przestępców ważne jest, by pozostać anonimowym, a systemy automatycznego odbioru przesyłek im to ułatwiają.

Coraz popularniejsza metoda sprzedaży polega na tym, że kupujący dostaje



Michał Aleksandrowicz: – Marihuana często jest doprawiana syntetycznymi kanabinoidami, by zwiększyć jej moc.

od dilerów pineskę z miejscem, gdzie są opłacone przez niego narkotyki. Tutaj ręka policji już nie sięga.

Ręka policji sięga wszędzie, żaden przestępca nie może czuć się pewnie. Taki sposób działalności przestępczej jest znany od lat i – proszę mi wierzyć – również w tych przypadkach sprawcy przestępstw są identyfikowani i zatrzymywani.

Jakie substancje dominują na rynku?

W Polsce od lat popularne są stymulanty. Dominują syntetyczne katynony, jak klefedron i klofedron. W tym roku zabezpieczyliśmy już ponad 26 ton narkotyków, więcej

niż w całym ubiegłym roku, kiedy było ich 21 ton. Wśród zabezpieczeń przeważają właśnie syntetyczne katynony. Są tanie i łatwo dostępne. Efekt działania jest zbliżony do kokainy, ale cena kilkukrotnie niższa. Sprawia to, że są atrakcyjne dla młodych ludzi.

Czy do Polski trafia fentanyl, który pustoszy USA?

Nie obserwujemy epidemii fentanylu. Zabezpieczone ilości to pojedyncze przypadki. Najczęściej niewielkie gramatury pochodzące z odzysku z wyrobów medycznych. Nie mamy produkcji nielegalnego fentanylu w takiej skali, jak w Stanach Zjednoczonych czy w Meksyku.

A tzw. polska heroina, czy wciąż jest w obrocie?

Nie, ona praktycznie zniknęła z rynku ponad 20 lat temu. Zastąpiły ją inne opioidy i leki o podobnym działaniu. Rynek poszedł w stronę syntetyków – prostszych do wytwarzania i bardziej dochodowych.

Czy marihuana, którą można kupić na ulicy, jest wzmacniana chemicznie?

Tak, niestety. Marihuana często jest doprawiana syntetycznymi kanabinoidami, by zwiększyć jej moc. Użytkownik nie potrafi tego roz-

poznać. Zdarza się, że dilerzy przyskają susz lakierem do włosów, żeby lepiej wyglądał. Prowadzi to do zatrucia i poważnych problemów zdrowotnych. Marihuana nie jest niewinna – to narkotyk jak każdy inny, w dodatku jest niejako wstępem do zażywania innych, twardszych środków psychoaktywnych.

Czy zajmujecie się ściganiami handlu grzybkami halucynogennymi lub ich syntetycznymi odpowiednikami?

Nasz wydział koncentruje się na przestępczości zorganizowanej. Jeśli w danej sprawie występuje handel na dużą skalę, wchodzimy w to. Takim rodzajem przestępczości narkotykowej zajmują się regionalne jednostki policji, koordynowane przez Biuro Kryminalne Komendy Głównej Policji. W laboratoriach, po badaniach, widzimy czasami syntetyczne zamienniki substancji naturalnych, np. psylocybiny.

Czy można wskazać typowy profil osoby wchodzącej w zorganizowany świat narkobiznesu?

Nie ma jednego wzorca. To ludzie szukający szybkiego zysku. Często mają doświadczenie kryminalne, ale coraz częściej trafiają tam też osoby młode, które wchodzą w to z pozornie technicznych

ról, np. obsługi komunikatorów, płatności, transportu. Te kariery są krótkie i zwykle kończą się więzieniem.

Telegram uchodzi dziś za główny kanał dystrybucji narkotyków w Polsce. Czy to prawda?

Rzeczywiście, komunikatory i darknet są wykorzystywane, ale trudno wskazać jeden dominujący kanał. Skala jest rozproszona. Sam fakt, że platforma jest zagraniczna, nie oznacza od razu wojny hybrydowej. To po prostu kwestia narzędzia.

Co może zrobić zwykły obywatel, który widzi na ulicy np. QR-kody reklamujące narkotyki?

Najlepiej zrobić zdjęcie i przekazać informację do najbliższej jednostki policji. Takie zgłoszenia są naprawdę ważne. Policja nie może być wszędzie, dlatego liczymy na społeczną czujność.

Czy zalegalizowanie narkotyków mogłoby ograniczyć czarny rynek?

Nie. Doświadczenia z USA pokazują, że nawet po legalizacji marihuany czarny rynek pozostaje aktywny, bo cena legalnego produktu jest wyższa. Ludzie kupują tam, gdzie taniej. Naszym zadaniem nie jest ocena prawa, tylko jego egzekwowanie.

HISTORIA CLAUDE CAHUN I MARCEL MOORE W TEATRZE WSPÓŁCZESNYM W SZCZECINIE

TEATR

Walczyły jak umiały – słowem, obrazem, drobnym performancem

Claude Cahun i Marcel Moore, francuskie surrealistki, które swoimi działaniami przekraczały nie tylko granice sztuki, ale też tożsamości płciowej i norm społecznych. To właśnie ich historia stała się punktem wyjścia do stworzenia spektaklu „Nie całuj mnie teraz”.

Premiera już w sobotę, 8 listopada na dużej scenie Teatru Współczesnego w Szczecinie.



Liderzy Związku Miast Bałtyckich dyskutowali o przyszłości w obliczu wyzwań

Patryk Czerwiński
Region

W Słupsku trwa XVIII posiedzenie Związku Miast Bałtyckich z udziałem przedstawicieli 50 miast z 10 krajów. Podczas konferencji prasowej, po sesji plenarnej, Mantas Jurgutis, prezydent Związku Miast Bałtyckich, Piotr Grzelak, wiceprzewodniczący Związku Miast Bałtyckich i zastępca prezydenta Gdańska oraz Paweł Zaboklicki, dyrektor Biura Związku Miast Bałtyckich, mówili o kluczowych wyzwaniach stojących przed miastami regionu.

W ramach obrad odbyło się szereg ważnych wydarzeń, w tym równoległe warsztaty interaktywne oraz sesja otwierająca z udziałem m.in. posłanki do Parlamentu Europejskiego Magdaleny Adamowicz, dyrektora generalnej DG REGIO Themis Christopidou, prezydenta Słupska Krystyny Danileckiej-Wojewódzkiej oraz prezydenta Gdańska Aleksandry Dulciewicz.

Odbyła się także druga sesja plenarna poświęcona finansowaniu i rzecznictwu w UE w ramach Wieloletnich Ram Finansowych na lata 2028-2035, z udziałem ekspertów z Komitetu Regionów UE oraz przedstawicieli miast Rygi, Växjö i Słupska.

Podczas konferencji miasta przyjęły stanowiska polityczne dotyczące Wieloletnich Ram Finansowych UE na lata 2028-2035. Postulują one bezpośredni dostęp miast do finansowania, ograniczenie biurokracji i wzmocnienie roli lokalnych głosów w kształtowaniu przyszłości Europy. Miasta zabiegają o co najmniej 10 procent środków polityki spójności na projekty miejskie oraz uznanie ich za kluczowych partnerów w projektowaniu programów UE.

Poruszono temat zaangażowania organizacji we wsparcie ukraińskich miast.

- Mamy 13 miast z Ukrainy. Dajemy im rękę i prowadzimy ich do Unii Europejskiej - mówił Mantas Jurgutis, prezydent Związku Miast Bałtyckich, dodając, że obecna pomoc dla Ukra-



Podczas konferencji odbyło się kilka sesji plenarnych, a także równoległe warsztaty interaktywne

iny kontynuuje misję zapoczątkowaną w 1991 roku, gdy organizacja wspierała kraje bałtyckie w budowaniu demokracji.

Jak argumentowano, widoczne są tendencje centralizacyjne, podczas gdy miasta wskazują, że to właśnie one są

w stanie najszybciej reagować na kryzysy.

Uczestnicy spotkania rozmawiali również o tworzeniu bezpiecznych miast w kontekście zagrożeń geopolitycznych. Zauważono, że miasta borykają się z atakami cybernetycznymi

i prowokacjami wymierzonymi w kluczową infrastrukturę.

Podkreślono, że Morze Bałtyckie staje się kluczowym obszarem jeśli chodzi o odporność miast na zmiany geopolityczne i kryzysy, a wymiana doświadczeń między miastami z róż-

nych krajów ma szczególną wartość.

Zwracano uwagę na nasilające się zagrożenia, w tym zakłócenia w działaniu lotnisk i przerwy w dostawach prądu, które wymagają identyfikacji i wspólnego przeciwdziałania. Podkreślano, że tylko silne miasta mogą uzyskać większy wpływ na udział w projektach finansowanych ze środków unijnych.

Podczas konferencji do grona miast stowarzyszonych dołączył ukraiński Iwano-Frankiowski, a do pełnoprawnych członków szwedzkie Ystad.

Wskazano edukację jako jeden z kluczowych tematów podejmowanych przez Związek w ostatnich czterech latach. Podczas warsztatów dotyczących zarządzania ryzykiem podkreślano potrzebę wspólnego identyfikowania największych ryzyk stojących przed miastami i poszukiwania rozwiązań.

- Musimy wspólnie wyłapywać największe ryzyka stojące przed miastami i szukać na nie rozwiązania - podsumował Piotr Grzelak. ©©

MATERIAŁ INFORMACYJNY T-MOBILE

0011428189

Pomóżmy dzieciom bezpiecznie wrócić do domu – mija 10 lat od wysłania pierwszego Child Alert w Polsce

Każdego roku polska Policja rejestruje około dwóch tysięcy zgłoszeń dotyczących zaginięć osób małoletnich. Choć większość z nich kończy się szczęśliwie, zdarzają się sytuacje wyjątkowo trudne, wymagające zastosowania niestandardowych narzędzi. Jednym z nich jest system Child Alert – narzędzie szybkiego rozpowszechniania wizerunku zaginionego dziecka za pośrednictwem mediów i innych dostępnych środków masowego przekazu oraz instytucji.

W tym roku mija 12 lat od ogłoszenia gotowości operacyjnej tego systemu i 10 lat od pierwszej wysyłki komunikatu. To okazja, by przypomnieć, jak ogromną rolę w zwiększaniu skuteczności poszukiwań odgrywa szybka reakcja społeczna – oraz wsparcie technologii.

Technologia w służbie społeczeństwu – czym jest Child Alert?

Child Alert to system alarmowy działający w 22 krajach w Europie, uruchamiany

w sytuacjach uprowadzenia dziecka, gdy istnieje realne zagrożenie dla jego zdrowia lub życia. Komunikat zawiera wizerunek dziecka, informacje dot. jego wyglądu i ubioru, a także krótki opis zdarzenia. Jest rozpowszechniany wszystkimi dostępnymi kanałami, tak by dotrzeć do jak największej liczby osób, które mogą pomóc w poszukiwaniach.

W Polsce operatorem systemu jest Centrum Poszukiwań Osób Zaginionych Komendy Głównej Policji. Na czym polega jego skuteczność? Przede wszystkim na dwóch aspektach – prędkości i jednoczesnym działaniu wielu podmiotów. Funkcjonowanie systemu opiera się bowiem na błyskawicznej, skoordynowanej współpracy licznych instytucji, w tym mediów masowych. Wszystkie te podmioty wspólnie działają tak, by jak najszybciej dotrzeć z komunikatem do jak największej liczby odbiorców.

W Polsce system wspierany jest również przez T-Mobile Polska, który od 2015 r., jako jedyny operator, ak-



tywnie uczestniczy w jego funkcjonowaniu. Dzięki tej współpracy klienci sieci, którzy wyrazili na to zgodę, otrzymują specjalnego MMS-a z fotografią zaginionego dziecka, informacją dot. jego wyglądu i ubioru, a także krótki opis zdarzenia.

- Zaginięcie dziecka to niewyobrażalny dramat i koszmar każdego rodzica. Dlatego 10 lat temu nie mieliśmy wątpliwości, że chcemy dołączyć do działań w ramach systemu Child Alert. W T-Mobile każdego dnia widzimy, że nasze usługi

i infrastruktura to coś więcej niż narzędzie czy po prostu technologia. To rozwiązania, które łączą ludzi z tym, co najważniejsze i pomagają w najbardziej krytycznych sytuacjach. Jeżeli zaangażowanie naszej firmy i naszych klientów, którzy praktycznie cały czas mają telefon komórkowy przy sobie, pomoże bezpiecznie wrócić do domu choćby jednemu dziecku, będzie to ogromny sukces i powód do dumy. Razem naprawdę możemy więcej – mówi Andreas Maierhofer, Prezes T-Mobile Polska.

Skuteczność, którą buduje społeczność

Od momentu wprowadzenia systemu Child Alert w Polsce uruchomiono go siedem razy. Każdorazowo doprowadził on do bezpiecznego odnalezienia dziecka – system wykazuje więc 100-procentową skuteczność. Tak dobry wynik to efekt współdziałania służb i społeczeństwa: setki zgłoszeń, które wpływały na specjalny numer alarmowy 995, okazywały się kluczowe dla prowadzenia poszukiwań.

Policjanci przypominają, że decydujące znaczenie mają pierwsze godziny od momentu zaginięcia. Im więcej osób wie o sytuacji, im więcej par oczu może zwrócić uwagę na dzieci pasujące do rysopisu, tym większa szansa na szybkie odnalezienie dziecka.

Kampania, która wzmacnia solidarność

W tym roku mija 10 lat od pierwszej wysyłki komunikatu i 10 lat od podpisania porozumienia o współpracy

między Komendą Główną Policji a operatorem, co stało się przyczynkiem do rozpoczęcia kampanii informacyjnej, której celem jest zwiększenie skali społecznej solidarności w poszukiwaniach zaginionych dzieci, które znajdują się w bezpośrednim zagrożeniu życia. Kampanii towarzyszy specjalny spot, który w obrazowy sposób pokazuje, jak ważna jest szybka reakcja społeczeństwa w sytuacji zaginięcia dziecka.

System jest usługą całkowicie niekomercyjną. **Abonenci T-Mobile, którzy chcą otrzymywać powiadomienia Child Alert, mogą wyrazić na to zgodę bezpłatnie – wysyłając SMS-a o treści TAK12 pod numer 4388 lub aktywując zgodę w aplikacji „Mój T-Mobile”.**

Hasło tegorocznej kampanii – „Pomóżmy dzieciom wrócić bezpiecznie do domu” – przypomina o rzeczy najważniejszej: każde dziecko zasługuje na bezpieczeństwo, a każdy z nas może pomóc je zapewnić.

Petycja do pani prezydent. Prośba o kontenery na odzież

Wojciech Lesner
Słupsk

Do Urzędu Miejskiego w Słupsku wpłynęła petycja od mieszkańców, którzy domagają się umieszczenia na terenie miasta pojemników na zużyte tekstylia. Jak argumentują, trudności z segregacją tego rodzaju odpadów mają szczególnie seniorzy, dla których dojazd na PSZOK może być problematyczny.

Grupa mieszkańców złożyła do prezydent Słupska petycję dotyczącą segregacji odpadów tekstylnych na terenie miasta. Jak podnoszą autorzy petycji, wyrzucenie zużytych ubrań czy pościeli stanowi obecnie problem, zwłaszcza dla seniorów.

„Zwracamy się z prośbą do Pani Prezydent Miasta Słupsk o dostawienie większej ilości kontenerów na tekstylia na terenie Miasta Słupsk.

Od stycznia 2025 roku jest ustawa o zakazie wynoszenia tekstyliów do wiaty śmietnikowej. Brak odpowiednich pojemników powoduje zanieczyszczenia w wiatach i obok nich. Problem dotyczy w szczególności osób starszych, którzy nie mają możliwości dowiezienia zbędnych tekstyliów do odległego PSZOK-a. Dostawienie kontenerów umożliwiłoby realną możliwość dbania o środowisko. Dzięki temu zwiększymy recykling i zmniejszymy ilość śmieci na składowiskach” – piszą mieszkańcy w swojej petycji, oczekując jej pozytywnego rozpatrzenia.

Wraz z początkiem 2025 roku weszły w życie przepisy nakładające na gminy ustawowy obowiązek segregacji odpadów tekstylnych. Od tej pory mieszkańcy zobowiązani są zużyta odzież czy pościel zawozić do gminnych Punktów Selektywnej Zbiórki Odpadów Komunalnych (PSZOK), za-



W pojemnikach na odzież różnych organizacji charytatywnych czasem ląduje odzież, która nie nadaje się do ponownego użytku

miast wrzucać je do pojemników na odpady zmieszane.

W Słupsku kwestię tekstyliów już w 2021 roku uregulo-

wała uchwała Rady Miejskiej, w myśl której mieszkańcy zobowiązani są oddawać stare ubrania, firany czy obrusy wła-

śnie do dwóch PSZOK-ów zlokalizowanych przy ulicy Szczecińskiej i Bałtyckiej. Duża część mieszkańców decydowała się jednak oddawać zużyte tekstylia do pojemników Polskiego Czerwonego Krzyża, czy innych organizacji, których kontenery poustawiane były na słupskich osiedlach.

Sprawę segregacji tekstyliów skomplikowała się, gdy kolejne fundacje i stowarzyszenia podjęły decyzję o likwidacji swoich pojemników. Taki los spotkał m.in. kontenery z logiem PCK, które sukcesywnie znikają z polskich miast. Jak tłumaczy organizacja, to pokłosie zmian w przepisach, które sprawiły, że do pojemników trafiała odzież coraz gorszej jakości i nienadająca się do ponownego użytku.

Wiele samorządów zdecydowało się jednak ułatwić proces segregacji tekstyliów montując własne pojemniki na odzież, bądź organizując

zbiórkę tej frakcji odpadów u źródła. Podobne plany ma m.in. słupski samorząd.

– Słuchamy głosów mieszkańców, dla których dojazd do PSZOK-a, mimo że naprawdę jest niedaleki, jest jakąś trudnością, więc od przyszłego roku uruchomimy najprawdopodobniej kolejną frakcję przyjmowania tejże odzieży zniszczonej czy w ogóle elementów tekstylnych – zapowiedziała na konferencji prasowej we wrześniu Krystyna Danilecka-Wojewódzka, prezydent Słupska.

Kolejna frakcja odpadów odbierana od mieszkańców wiązać się będzie najprawdopodobniej z podwyżką stawki za wywóz odpadów. Inne rozwiązanie zastosowano np. w Koszalinie. Na terenie zachodniopomorskiego miasta już w listopadzie pojawić się ma w 51 lokalizacjach 80 pojemników do selektywnej zbiórki tekstyliów.

©

Dr Marcin Klim ze słupskiego szpitala otrzymał tytuł eksperta Da Vinci

Patryk Czerwiński
Słupsk

Dr n. med. Marcin Klim, urolog z Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Słupsku wykonał ponad 200 operacji z wykorzystaniem robota chirurgicznego Da Vinci Xi. Za to osiągnięcie otrzymał od firmy Synektik tytuł Eksperta Da Vinci.

Dr n. med. Marcin Klim jest ordynatorem Oddziału Urologicznego w Wojewódzkim

Szpitalu Specjalistycznym w Słupsku. Wykonywanie zabiegów z robotem Da Vinci rozpoczął w styczniu 2024 roku. Zarząd szpitala złożył ordynatorowi gratulacje z okazji otrzymania certyfikatu.

– Proszę tak dalej trzymać i nie zaniedbywać innych dziedzin swojego życia zawodowego – powiedział Andrzej Sapiński i Anetta Barna – Feszak, prezes i wiceprezes Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Słupsku.

Czym jest system da Vinci i co trzeba zrobić, aby taki certyfikat otrzymać? Da Vinci to robot chirurgiczny, który dzieli się na konsolę, przy pomocy której chirurg steruje urządzeniem, wózek wizyjny będący oczami oraz samego robota w postaci czterech ramion.

Dzięki jego precyzyjności, chirurg może przeprowadzać małoinwazyjne zabiegi. Tylko do roku 2022 przeprowadzono na świecie za jego pomocą ponad 12 milionów operacji, a ich

liczba stale rośnie. Tak samo zresztą jak lista szpitali mogących się pochwalić jego posiadaniem.

Tytuł Eksperta da Vinci został nadany przez firmę Synektik, która jest w Polsce przedstawicielem systemu robotycznego Da Vinci. Jak poinformowała firma, w województwie pomorskim jest tylko kilku urologów z tak dużą liczbą przeprowadzonych operacji z wykorzystaniem tej technologii.

©



Dr Marcin Klim (w środku) z certyfikatem Eksperta Da Vinci

Chciałbym z całego serca podziękować

całemu zespołowi lekarzy
Oddziału Neurologicznego z WSS w Słupsku

za profesjonalizm i empatię w czasie
dwukrotnego pobytu z udarem mózgu.

Szczególnie niezapomnianej

pani doktor Błądek

i panu doktorowi Noskowi



wdzięczny pacjent

USKOM
FIRMA POGRZEBOWA

TELEFONY: 91 485 68 91 | +48 607 310 090

Kompleksowe
usługi pogrzebowe

Międzynarodowy
transport zmarłych

Rozliczenie
ratalne

Usługi
cmentarne

www.uskom.szczecin.pl | Szczecin, Ku Słońcu 23/1

**strefa
AGRO**

Grunt to biznes.

strefaagro.pl

Co dalej z zamkiem w Łapalicach?

Maciej Krajewski
maciej.krajewski@polskapress.pl

Zamek w Łapalicach - gigantyczna samowola budowlana i problematyczna „atrakcja” turystyczna, która po latach miała wreszcie zostać dokończona. Kluczowe jednak jest słowo „miała”, bo we wrześniu minęły już dwa lata, odkąd kartuska Rada Miejska otworzyła właścicielowi drogę do legalizacji inwestycji. Co od tego czasu się zmieniło?

Tzw. zamek w Łapalicach był po prostu niedokończoną samowolą budowlaną - terenem prywatnym, który wzbudzał niesamowite zainteresowanie. „Był” ponieważ w ostatnich latach pojawiła się nadzieja, iż problematyczna „atrakcja” wreszcie doczeka się ukończenia.

Drogę do legalizacji obiektu otworzyła uchwała kartuskiej Rady Miejskiej z września 2023 r. Mijają jednak dwa lata od uchwały, a zamek jaki był taki jest. Jedyne konkretne różnice dostrzegli... policjanci.

Mundurowi bowiem przez lata regularnie interweniowali w okolicy. Zwłaszcza w okresie pandemii zamek był niemal oblegany. I choć wciąż zdarzają się przypadki, że ludzie wchodzą na ten teren mimo zabezpieczeń oraz zakazów, same interwencje w 2025 r. można właściwie policzyć na palcach jednej ręki.



Obiekt jest niebezpieczny ze względu na pogarszający się z roku na rok stan techniczny

Przyszłością zamku w Łapalicach niezmiennie zainteresowany jest Arkadiusz Socha, przewodniczący Rady Miejskiej w Kartuzach. Wielokrotnie już na sesjach rady podkreślał, jak ważne i korzystne byłoby dokończenie obiektu.

- Zdajemy sobie sprawę, że to byłaby inwestycja kilkusetmilionowa - zauważa Arkadiusz Socha. - Krążyły oczywiście różne informacje, że ktoś chciał to kupić i przerobić na „polski Hogwart”. Obecnie jednak nie mam żadnych informacji, żeby ktoś miał to kupić czy realizować dalej.

Przewodniczący rady wciąż popiera pomysł dokończenia zamku.

Rozwiązaniem np. byłby hotel. Natomiast czy coś z tym faktycznie będzie - nie mam pojęcia.

Budowa zamku w Łapalicach rozpoczęła się w 1983 roku. Jego pomysłodawcą był producent mebli z Gdańska. W latach 90. budowę przerwano ze względu na kłopoty finansowe, z kolei później inspektor nadzoru budowlanego zakazał dalszych prac.

Należy podkreślić, że sam obiekt jest niebezpieczny ze względu na pogarszający się z roku na rok stan techniczny. Na dodatek to teren prywatny i de facto obszar trwającej budowy.

© P

REKLAMA 0011426055

WÓJT GMINY BORZYTUCHOM
informuje,

że w dniu 7 listopada 2025 r. na tablicy ogłoszeń w Urzędzie Gminy Borzytuchom oraz na stronie internetowej ug.borzytuchom i bip.pl na okres 21 dni został umieszczony wykaz n.w. nieruchomości przeznaczonych do oddania w dzierżawę:

- część działki 1/7 obr. Dąbrówka
- dz. nr 36/1 obr. Borzytuchom
- dz. nr 58/1 obr. Struszewo
- dz. nr 105/10 obr. Dąbrówka

Więcej informacji:
Urząd Gminy Borzytuchom, ul. Zwycięstwa 56, nr tel. 59 82 113 90

REKLAMA 0011412994

UWAGA!

Informujemy, że w dniu 10 listopada 2025 r.

Starostwo Powiatowe w Bytowie i Oddział Zamiejscowy w Miastku będą nieczynne.

Za wszelkie niedogodności i utrudnienia przepraszamy.

REKLAMA

0011426844

URZĄDZENIA CZYSZCZĄCE SERWIS i SPRZEDAŻ

NILFISK KÄRCHER



PROFESJONALNA OBSŁUGA Z WIELOLETNIM DOŚWIADCZENIEM

Zapraszamy do Autoryzowanego Serwisu Punktu Sprzedaży firmy Nilfisk oraz serwisu i Punktu Sprzedaży Firmy Kärcher

76-200 Słupsk, ul. Przemysłowa 34b

tel. 602 442 117

e-mail: mariusz-zawacki@wp.pl

www.jmk-serwis.pl



REKLAMA

0011427277

Na podstawie art. 35 ust. 1 i 2 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz. U. z 2024 r. poz. 1145 ze zm.)

Starosta Bytowski

informuje,

że w dniu 7 listopada 2025 r. na okres 21 dni na tablicy ogłoszeń Starostwa Powiatowego w Bytowie przy ul. Ks. dr. Bolesława Domańskiego 2 oraz w Oddziale Zamiejscowym w Miastku przy ul. Grunwaldzkiej 1, a także na stronie internetowej Starostwa Powiatowego w Bytowie oraz w Biuletynie Informacji Publicznej Starostwa Powiatowego w Bytowie i Wojewody Pomorskiego w Gdańsku został zamieszczony **wykaz nieruchomości** z zasobu Skarbu Państwa, **przeznaczonych do oddania w użyczenie na okres 7 lat** na rzecz Gminy Miastko.

REKLAMA 0011413214

Narodowe Święto Niepodległości 11 Listopada

to dzień, w którym naszą uwagę kierujemy ku pamięci uczestników walk o wolną i niezależną Polskę, jak i Tych, którzy swoją codzienną pracą przyczyniali się do zachowania narodowej tożsamości. W tym szczególnym dniu oddajemy hołd bohaterom, którzy polegali w walce za Ojczyznę. Niech pamięć o Nich będzie najlepszym przykładem do wspólnej pracy dla dobra Polski.

Z okazji 107. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości życzymy wszystkim mieszkańcom Powiatu Bytowskiego wszelkiej pomyślności, mądrego korzystania z daru wolności oraz zjednoczenia dla zapewnienia lepszej przyszłości następnym pokoleniom.

Paweł Biernacki
Przewodniczący
Rady Powiatu Bytowskiego



Leszek Waszkiewicz
Starosta Bytowski

REKLAMA

0011428562



Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Szczecinku

Dyrektor RDLP w Szczecinku informuje o możliwości wglądu, zapoznania się oraz zgłaszania uwag, wniosków i opinii do projektu Planu Urządzenia Lasu dla Nadleśnictwa **Warcino** sporządzonego na lata 2026-2035 wraz z prognozą oddziaływania planu urządzenia lasu na środowisko i na obszary Natura 2000.

Dokumentacja projektu została wyłożona do wglądu w siedzibie Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Szczecinku (pod adresem ul. Mickiewicza 2, 78-400 Szczecinek), w Wydziale Urządzania Lasu i Geomatyki (pokój 115), w dni robocze w godzinach od 8.00 do 15.00. Prosimy o wcześniejszy kontakt pod numerem tel. 94 372 63 00, w dni robocze, w godzinach od 8.00 do 15.00. W wersji elektronicznej dokumentacja została udostępniona na stronie BIP RDLP w Szczecinku w zakładce Co robimy/Plan urządzenia lasu/materiały.

Wszyscy zainteresowani mogą składać uwagi i wnioski do projektu PUL w terminie **do dnia 4 grudnia 2025 r.** w formie pisemnej lub za pomocą środków komunikacji elektronicznej bez konieczności opatrzenia ich bezpiecznym podpisem elektronicznym, o którym mowa w ustawie z dnia 5 września 2016 r. o usługach zaufania oraz identyfikacji elektronicznej (Dz. U. z 2024 r. poz. 1725):

- na adres lub w siedzibie Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Szczecinku, ul. Mickiewicza 2, 78-400 Szczecinek;
- na adres e-mail: rdlp@szczecinek.lasy.gov.pl;
- na adres elektronicznej skrzynki podawczej: /pgl_lp_1171/SkrytkaESP;
- na adres skrzynki e-Doręczeń: **AE:PL-10592-98542-BATGD-24**, z dopiskiem „Uwagi do projektu PUL dla Nadleśnictwa Warcino”.

Uwagi lub wnioski wniesione po upływie terminu, o którym mowa powyżej pozostawia się bez rozpatrzenia. Jednocześnie informuję, iż rozpatrzenie wszystkich uwag i wniosków zawarte zostanie w załączniku do podsumowania z uzasadnieniem projektu PUL, sporządzonego na podstawie przepisów ustawy OOS z dnia 3 października 2008 r. (t.j. Dz.U.2024, poz. 1112), dlatego też nie będą udzielane żadne inne indywidualne odpowiedzi w formie pisemnej.

Jednocześnie informujemy, że właściwym do rozpatrzenia powyższych uwag i wniosków jest Dyrektor RDLP w Szczecinku.

Sposób na opodatkowanie mieszkań wynajmowanych na czarno

Agnieszka Domka-Rybka
agnieszka.domka@polskapress.pl

Przychody z wynajmu na czarno opiewają na miliardy złotych. Fiskus może na tym tracić kilkaset milionów złotych rocznie. Pojawiają się pomysły, jak opodatkować te zyski.

Wynajem „na czarno”, to sytuacja, w której właściciel czerpie przychody z tego tytułu, ale nie dzieli się nimi z fiskusem. Wydawałoby się, że skoro od przychodu z wynajmu trzeba zapłacić 8,5 proc. podatku (12,5 proc. przy większej skali), to mało kto będzie się na takie ryzyko decydował. W praktyce jednak wciąż takie sytuacje się zdarzają.

Prawda jest taka, że nie ma nawet oficjalnych statystyk, które pokazałyby, ile jest w Polsce w ogóle mieszkań na wynajem. Nawet dostępne dane Eurostatu na temat wielkości rynku najmu wydają się sprzeczne. Z tych za 2024 rok wynika, że w Polsce jedynie 4,8 proc. obywateli wynajmowało mieszkanie i płaciło czynsz na zasadach rynkowych. Jeśli interpretować dane urzędowe

wprost, to należałoby uznać, że ze standardowego najmu korzysta w Polsce mniej niż 1,8 mln osób.

Inne dane Eurostatu sugerują natomiast, że mieszkania wynajmowane w Polsce są w czołówce rankingu przeludnienia. Taki problem dotyka aż 2/3 najemców.

Przyjmując więc zachowawczo, że w przeciętnym wynajmowanym lokum mieszkają 3-4 osoby, to otrzymujemy informację z której wynika, że w Polsce wynajmowanych może być tylko około 450-600 tysięcy domów i mieszkań. Nijak ma się to do rzeczywistości. Nawet minister finansów podsumowując 2023 rok ogłosił przecież, że ryczałt od prywatnego najmu zapłaciło mu ponad 1,1 mln podatników. Oczywiście, ryczałt od prywatnego najmu należy też płacić od wynajmu innych rzeczy, a nie tylko nieruchomości, ale jasnym jest, że głównie płacą go podatnicy zarabiający na wynajmie mieszkań - komentuje Bartosz Turek, analityk rynku nieruchomości.

Analizuje on dalej, że aby przejść do szacunków dotyczących skali szarej strefy wypada-

łoby więc najpierw odpowiedzieć na pytanie - „ile może być w Polsce mieszkań i domów na wynajem?”. Tego niestety nie wiemy. Jeszcze w 2024 roku (na podstawie danych za 2023 rok) Hanna Milewska-Wilk, specjalistka ds. mieszkalnictwa w Instytucie Rozwoju Miast i Regionów - szacowała liczbę wynajmowanych w Polsce nieruchomości na 1,5 mln. Problem w tym, że wyraźnie mniej osób dzieli się z fiskusem przychodami z wynajmu. W 2023 roku podatek od przychodów z najmu prywatnego zapłaciło ponad 1,1 mln osób. W liczbie tej są oczywiście też podatnicy czerpiący przychody z wynajmowania innych rzeczy niż same mieszkania, ale najpewniej jest to margines. Z danych ministerstwa wynika, że przeciętny podatnik zainkasował prawie 30 tysięcy złotych rocznego czynszu. Zważywszy na stawki, które obowiązywały w tamtym czasie można zaryzykować szacunek, że przeciętny wynajmujący ma trochę ponad 1,2 mieszkania. To daje nam więc około 1,35-1,40 mln mieszkań, które w 2023 roku były wynajmowane przez po-

datników, którzy normalnie płacili podatki.

Warto też spojrzeć na problem też z innej strony. Kuszącym sposobem na oszacowanie wielkości szarej strefy wynajmu jest też pojawiający się od lat raport przygotowywany przez AMRON dotyczący rynku najmu studenckiego. Z najnowszej jego edycji wynika, że 9 proc. żaków nie ma spisanych z właścicielami umów, a polegają jedynie na ustnych ustaleniach. Istnieje tu podejrzenie, że to właśnie w tym miejscu mamy szarą strefę.

Pojawiła się już nawet inicjatywa, aby stworzyć Centralną Ewidencję Lokali. Póki co idea ta nie doczekała się urzeczywistnienia, a ponadto jej pomysłodawcy mówią raczej o wpływie na rynek najmu krótkoterminowego (na doby), a nie sektor tradycyjnego wynajmu mieszkań (czyli tzw. długoterminowy). Podobnie jest z pojawiającym się niekiedy pomysłem opodatkowania pustostanów. Jego efektem mogłoby się okazać nie tyle bardziej efektywne wykorzystanie istniejącego zasobu mieszkaniowego, co znaczne utrudnienie wynajmu w szarej strefie - podsumowuje Turek. ©

AUTOREKLAMA

0011424648



do kupienia
także
w sieci

Netto



POLSKA i ŚWIAT

PRAWO

W czwartek zaprezentowany został projekt mający zmienić przepisy o Krajowej Radzie Sądownictwa. Jak powiedział minister Żurek, każda osoba będąca sędzią w stanie czynnym ma mieć prawo głosu w wyborach sędziowskich członków KRS. – Wybory stają się powszechne dla sędziów, to jest zupełnie nowum i wybory organizuje PKW, która weryfikuje zgłoszenia kandydatów i organizuje wysłuchania publiczne – podkreślił.

”

Ta ustawa jest kolejnym krokiem do tego, żebyśmy mieli dzisiaj silne państwo. Mam nadzieję, że będzie to ustawa przełomowa

Waldemar Żurek minister sprawiedliwości

W piątek Sejm może odebrać immunitet byłemu ministrowi

Dorota Kowalska
Warszawa

Wszystko wskazuje na to, że w piątek Sejm odbierze immunitet Zbigniewowi Ziobrze.

Ten tydzień bezapelacyjnie należał do Zbigniewa Ziobry. Były minister sprawiedliwości królował w mediach. Wszystko za sprawą wniosku, jaki prokuratura złożyła do Sejmu. Chodzi o uchylenie Ziobrze immunitetu, wniosek dotyczy również zgody na zatrzymanie go i tymczasowe aresztowanie. Śledczy postawili Ziobrze 26 zarzutów, w tym zarzut założeń i kierowania zorganizowaną grupą przestępcą.

Zdaniem śledczych były minister sprawiedliwości wskazywał podwładnym, kto ma wy-



FOT. ADAM JANKOWSKI

Zbigniew Ziobro w tym tygodniu spotkał się z Wiktorem Orbanem. Ale o azyl – na razie – nie poprosił

grać niektóre konkursy na pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości, zanim jeszcze te konkursy zostały ogłoszone.

Trzeba było jednak zachować pozory, więc ustalenia przez Ziobrę zwycięzcy przygotowywali oferty konkursowe. Jak twierdzi prokuratura, nawet urzędnicy niższego szczebla musieli pilnować, „aby konkurs przebiegł zgodnie z oczekiwaniami kierownictwa resortu sprawiedliwości”.

Problem w tym, że Ziobro, kiedy śledczy składali wniosek w Sejmie, przebywał w Budapeszcie. Spotkał się tam między innymi z Wiktorem Orbanem. Obaj panowie bez pardonowo atakowali polski rząd i Donalda Tuska. I choć były już minister sprawiedliwości zarzeka się, że nie będzie się starał o azyl polityczny, to wciąż nie wiadomo, gdzie jest i czy wróci do kraju.

Może stąd podczas wtorkowego posiedzenia Rady Ministrów premier Donald Tusk

zwrócił się bezpośrednio z apelem do Zbigniewa Ziobry. – Jestem przekonany, że nie chce pan przejść do historii jako „fujara” czy „miększon” i stawia się pan przed wymiarem sprawiedliwości – powiedział. I podkreślił, że zarzuty, które stawiane są Ziobrze, brzmią poważnie. – Ucieczka czy szukanie azylu na Białorusi jak jeden pana kolega, czy na Węgrzech jak drugi pana kolega stawia pana w bardzo złym świetle – mówił premier. – W związku z tym mam nadzieję, że niedługo się w Polsce zobaczymy, jak sam pan mówił, uczciwi nie mają się czego bać – podkreślił.

Sam Ziobro nie składa bronii. Razem z byłym swoim zastępcą w resorcie sprawiedliwości, posłem PiS Marcinem Warchołem, przekonuje, że szef zespołu śledczego nr 2

prok. Piotr Woźniak, który podpisał się pod wnioskiem o uchylenie immunitetu, „przywłaszczył sobie funkcję” prokuratora krajowego i działał w celu osiągnięcia korzyści osobistej. Politycy Prawa i Sprawiedliwości oficjalnie stają w obronie swojego partyjnego kolegi. We wtorek 4 listopada dziennikarze pytali Jarosława Kaczyńskiego, czy Ziobro powinien wrócić do kraju.

– Żeby go w istocie zamordowano? – odpowiadał pytaniem. – Jeżeli ktoś bardzo ciężko chory, kto wymaga stałej, bardzo poważnej opieki lekarskiej jest umieszczany w więzieniu, to jest równoznaczne z wyrokiem śmierci – stwierdził Kaczyński, nawiązując do choroby nowotworowej, którą przeszedł Zbigniew Ziobro.

Jeśli Sejm zdecyduje o ode-

braniu immunitetu Zbigniewowi Ziobrze, ten dołączy do swoich dawnych podwładnych w ministerstwie sprawiedliwości, czyli do Marcina Romanowskiego i Michała Wosia, którzy usłyszeli już zarzuty w związku z nieprawidłowościami związanymi z wydatkowaniem pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości.

Kwestia rozliczenia rządów PiS była bardzo mocno podnoszona przez koalicję 15 października, tak w trakcie kampanii wyborczej, jak w ciągu dwóch lat jej rządów. Szef MS Waldemar Żurek nie ukrywa, że przywrócenie w Polsce praworządności to dla niego priorytet. Reformę wymiaru sprawiedliwości przeprowadzał Zbigniew Ziobro i to on dzielił pieniądze, którymi dysponował jego resort.

MATERIAŁ INFORMACYJNY NASK

EZD RP jako element odporności i suwerenności cyfrowej państwa



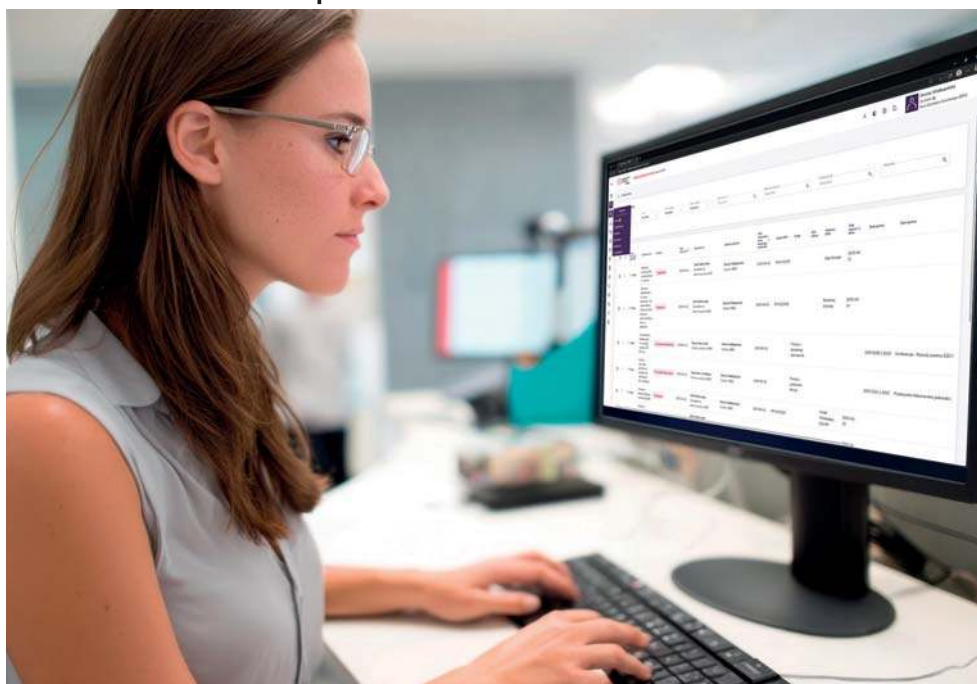
Cyfrizacja administracji przy jednoczesnej ochronie danych? Szybsza i łatwiejsza obsługa spraw urzędowych? To wyzwania dla instytucji publicznych. Ale jest na nie odpowiedź – EZD RP – system IT wdrażany i utrzymywany przez NASK, upowszechniany dzięki funduszom z KPO.

Administracja publiczna korzysta z wielu rozproszonych systemów do elektronicznego zarządzania dokumentacją, pochodzących od różnych dostawców. Takie rozwiązanie generuje koszty i utrudnia współpracę pomiędzy różnymi jednostkami. EZD RP jest odpowiedzią na te problemy, stworzoną przez specjalistów NASK. Instytucje publiczne nie muszą już wybierać między produktami prywatnych firm.

To sprawia, że dokumentacja urzędowa – decyzje, pisma, umowy, raporty – przechowywana jest w Polsce w ramach infrastruktury nadzorowanej przez NASK i Ministerstwo Cyfryzacji. To znaczący krok w kierunku cyfrowej suwerenności państwa.

EZD RP w kontekście strategicznym

EZD RP wpisuje się w Strategię Cyfryzacji Polski, która



do 2035 roku zakłada stworzenie bezpiecznego, zintegrowanego ekosystemu usług publicznych. W tym terminie planowane jest:

- wdrożenie systemu elektronicznego zarządzania dokumentami w podmiotach realizujących zadania publiczne;
- prowadzenie spraw przez te podmioty w postaci elektronicznej.

System umożliwia m.in. prowadzenie koresponden-

cji urzędowej, podpisywanie dokumentów czy też archiwizację spraw online. EZD RP nie wyprze w całości dokumentacji papierowej, ale znacznie zmniejszy jej skalę. I to zmiana zarówno dla urzędników, jak i obywateli.

Przejście na elektroniczne zarządzanie dokumentacją oznacza większą transparentność procesów i lepszy nadzór nad decyzjami administracyjnymi. Możliwe jest także śledzenie na bieżąco sprawy prowadzonej przez urzędnika – może to robić uprawniona

do podglądu osoba. Z punktu widzenia obywatela wdrożenie EZD RP przyspieszy załatwianie spraw i wyeliminuje błędy, które zdarzają się przy ręcznej obsłudze dokumentacji.

EZD RP a odporność administracji i bezpieczeństwo

Dziś, kiedy ryzyko związane z cyberatakami jest szczególnie wysokie, kluczowe jest bezpieczeństwo danych obywateli. NASK je zapewnia i gwarantuje ochronę przed cyberzagrożeniami. Jednostki, które korzystają z systemu EZD RP, nie tylko opierają się na zaawansowanej technologicznie infrastrukturze IT – aplikacja zapewnia także automatyczne wykonywanie kopii bezpieczeństwa, a system nadawania uprawnień użytkownikom jest bardzo rozbudowany.

Istotnymi elementami bezpieczeństwa danych są pracownicy, odpowiednio przeszkoleni w zakresie merytorycznej obsługi systemu. Szkolenia uwzględniają szczególnie wytyczne związane z cyberbezpieczeństwem i zarządzaniem dostępem do zasobów.

Warto też zaznaczyć, że w przypadku modelu SaaS awarie sprzętu lokalnego nie wpływają na działanie systemu, a kopie danych są przechowywane w wielu lokalizacjach. Co więcej, centralny model aktualizacji pozwala na natychmiastową reakcję na zagrożenia, eliminując konieczność indywidualnych interwencji w tysiącach urzędów.

Edukacja i adaptacja

Jednym z filarów projektu EZD RP są szkolenia z obsługi systemu, które obejmą aż 75 tys. pracowników administracji, a finansowane są ze środków KPO. System do elektronicznego zarządzania dokumentacją staje się nie tylko narzędziem pracy, lecz także istotnym elementem wspierającym edukację cyfrową.

EZD RP nie jest zwykłą aplikacją. To platforma, która wzmacnia odporność administracji publicznej i zapewnia suwerenność danych. Właśnie dlatego jej upowszechnianie jest niezwykle istotne. Więcej informacji o projekcie: ezdrp.gov.pl/kpo.



Rzeczpospolita
Polska

Sfinansowane przez
Unię Europejską
NextGenerationEU



NASK

Papież Leon XIV krytykuje prezydenta Donalda Trumpa

Kazimierz Sikorski
Castel Gandolfo

Leon XIV wezwał do refleksji nad sposobem traktowania migrantów w USA, gdzie, jak stwierdził, wiele osób zostało głęboko dotkniętych kontrowersyjną polityką masowych deportacji.

W jednej ze swoich najostrzejszych jak dotąd krytyk pod adresem administracji Trumpa, pierwszy papież urodzony w USA ostrzegł też, że bombardowanie przez USA wenezuelskich łodzi, podejrzanych o przewóz narkotyków, grozi wzrostem napięć w regionie.

Wychodząc przed rezydencją papieską w Castel Gandolfo, papież powiedział, że są ludzie, którzy mieszkają w USA „od lat i ni-

gdy nie stwarzają problemów, a którzy zostali głęboko dotknięci” przez nieustępliwą politykę migracyjną Trumpa. Przemawiając po angielsku i zwracając się bezpośrednio do amerykańskiej publiczności, powtórzył katolickie przekonanie, że każdy chrześcijanin będzie ostatecznie oceniany na podstawie tego, jak przyjął „obcokrajowca”.

Po wyborze w maju, papież wypowiadał się ostrożnie na temat geopolityki. W październiku użył słowa „niehumanitarne” w odniesieniu do represji pod przewodnictwem Trumpa, co wstrząsnęło konserwatywnymi katolikami w jego kraju. Widzieli papieża Leona jako sojusznika po napiętych stosunkach z jego poprzednikiem, Franciszkiem, który kiedyś nazwał Trumpa „niechrześcijańskim”.



Papież ostrzegł też przed eskalacją u wybrzeży Wenezueli. „Myślę, że przemocą nie wygramy”

Dożywocie dla pielęgniarza, który zabijał pacjentów

Marcin Koziestański
Akvizgran

Sąd w Akvizgranie na zachodzie Niemiec skazał w śróde pielęgniarza na karę dożywotniego więzienia za zabicie 10 pacjentów i 27 prób morderstwa - podała agencja dpa.

Sąd uznał dużą wagę czynów 44-letniego Niemca, co w praktyce wyklucza możliwość warunkowego zwolnienia po 15 latach. Tym samym sąd przychylił się do wniosku prokuratury.

Pielęgniarz został uznany za winnego zabójstwa 10 pacjentów oraz 27 prób morderstwa, do których doszło między grudniem 2023 roku a majem 2024 roku. Według aktu oskarżenia samowolnie podawał ciężko chorym pacjentom leki uspokajające, częściowo razem z lekami przeciwbólowymi.

Motywy jego działania miały być chęć uspokojenia pacjentów, by miał mniej pracy podczas nocnych dyżurów. Oskarżony zaprzeczył zarzutom. Podczas trwającego od marca procesu twierdził, że nie podawał leków w celu skrócenia życia chorych. Obrońcy domagali się uniewinnienia mężczyzny.

Śledczy zakładają, że pielęgniarz mógł popełnić więcej przestępstw. Obecnie sprawdzane są inne podejrzane przypadki z jego wcześniejszych lat pracy. Prokuratura w Akvizgranie zapowiedziała, że prawdopodobnie wniesie kolejne oskarżenie przeciwko mężczyźnie.

Dpa przypomniała, że za sprawcę największej serii zabójstw w powojennej historii Niemiec uznaje się byłego pielęgniarza Nielsa Hoegla, skazanego w 2019 roku na dożywotnie więzienie za zabicie 85 osób. PAP

Putin planuje kolejne dwa lata wojny. Co najmniej

Grzegorz Kuczyński
Moskwa

Rosja od miesięcy robi postępy na froncie - teraz jest coraz bliżej zdobycia Pokrowska. Ekspansja jest wolna i kosztuje wiele tysięcy żołnierzy, ale Kreml może mówić, że wygrywa w wojnie.

Ubrany w mundur wojskowy prezydent Rosji Władimir Putin spotkał się 26 października ze swoim ulubionym podwładnym, generałem Walerijem Gierasimowem oraz innymi dowódcami rosyjskich sił zbrojnych. To miało na celu przekonanie rosyjskiej opinii publicznej, że armia osiąga postępy oraz potwierdzenie zobowiązania do całkowitego zajęcia regionów Ługańska, Doniecka, Zaporozża i Chersonia.

Rosyjskie siły zbrojne dokonują poważnych postępów w rejonie miasta Pokrowsk w obwodzie donieckim. Być może uda im się zdobyć miasto podczas zimowej kampanii, ale koszty ludzkie będą wysokie.

Zdobycie Pokrowska zmusi Ukrainę do korzystania z dłuższej trasy północnej w celu zaopatrzenia linii frontu w tym obszarze. Jednak Pokrowsk to tylko miasto i podobnie jak inne miasta w regionie, które Rosja stopniowo podbijała w ciągu ostatnich trzech lat, nie zapewni jej zwycięstwa w wojnie.

Za Pokrowskiem siły ukraińskie stworzyły silne wielowar-



Władimir Putin spotkał się z generałem Walerijem Gierasimowem w ostatnich dniach października. Rozmowa dotyczyła przebiegu działań wojennych

stwowe linie obrony składające się z pól minowych, bunkrów, systemów artyleryjskich oraz dronów uderzeniowych i rozpoznawczych.

Putin nie może zaakceptować oferty prezydenta Trumpa dotyczącej zawieszenia broni na obecnych liniach frontu bez utraty twarzy w swoim kraju.

Po pierwsze, nie może uzasadnić ogromnej liczby ofiar śmiertelnych bez żadnych znaczących osiągnięć. Po drugie, nie spotka się z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim, ponieważ wielokrotnie powtarzał Rosjanom, że Zełenski jest „nielegalny”. Wreszcie, bez kontroli nad całym Donbasem, ba-

stionem obrony Ukrainy, nie może zrealizować swoich długoterminowych planów przejścia całej Ukrainy.

Putin chce kontynuować wojnę na Ukrainie przez kolejne dwa lata, sprzedając ropę Chinom i Indiom (pomimo amerykańskich sankcji), importując sprzęt wojskowy z Chin i rekrutując tysiące najemni-

Putin nie może zaakceptować oferty Trumpa dotyczącej zawieszenia broni na obecnych liniach frontu bez utraty twarzy w swoim kraju

ków z Korei Północnej i innych krajów.

Chociaż rosyjska gospodarka cierpi, rozmowy o jej upadku są przedwcześnie.

Po pierwsze, Rosja ściśle kontroluje odpływ kapitału. Jest to umiejętnie regulowane przez prezes Banku Rezerw Rosji Elwirę Nabiullinę.

Po drugie, Rosji nie można zablokować. Posiada ona ogromne zasoby naturalne, takie jak zboża, rybołówstwo, ropa naftowa i gaz ziemny. Ukraińskie ataki na obiekty naftowe i przemysłowe nie zniszczą tych zasobów. Rosja po prostu przeniesie je dalej na wschód lub wykorzysta sojuszników. PAP

Kierowca, krzycząc „Allahu Akbar”, wjechał w piesznych na francuskiej wyspie wakacyjnej

Kazimierz Sikorski
Ile d'Oléron

Kierowca wjechał w piesznych i rowerzystów na wyspie Ile d'Oléron, u wybrzeży Atlantyku, poinformował Laurent Nunez, minister spraw wewnętrznych Francji.

Podczas 35-minutowej szarży potraconych zostało pięć osób. Dwie osoby są poważnie ranne, w tym 22-letnia kobieta, a trzy inne odniosły lżejsze obrażenia.

Podejrzany, 35-letni mężczyzna, został aresztowany pod zarzutem usiłowania zabójstwa i wszczęto śledztwo.

Christophe Sueur, burmistrz Saint-Pierre-d'Oléron, gdzie doszło do tragedii, powiedział, że kierowca był znany policji. „Jest osobą znaną policji, z nietypowego zachowania i proble-



Świadkowie zdarzenia pomagali w ujęciu kierowcy

mów związanych z alkoholem” - mówił burmistrz. Sueur ujawnił też, że kierowca podpalił swój pojazd po tym, jak uderzył w piesznych i rowerzystów, zanim zatrzymała go policja. Nie wiadomo, czy to wydarzenie zostanie uznane za atak terrorystyczny.

Atak miał miejsce między miejscowościami Dolus-d'Oléron i Saint-Pierre-d'Oléron. Według miejscowych

kierowca celowo skierował samochód w piesznych i rowerzystów na drodze łączącej dwa miasteczka u wybrzeży La Rochelle.

W chwili zatrzymania krzyczał Allahu Akbar - mówił Arnaud Laraize, prokurator w La Rochelle. „Motywy jego działania są na razie nieznane” - dodał.

Laraize mówił, że podejrzany stawiał opór i został obezwładniony paralizatorem.

Ofiary, w wieku od 22 do 67 lat, pochodzą z Saint-Pierre-d'Oléron i Dolus-d'Oléron. Przetransportowano je helikopterem do Szpitala Uniwersyteckiego w Poitiers.

Thibault Breckhoff, burmistrz Dolus-d'Oléron, pochwalił szybką reakcję policji i miejscowych na incydent. „Wszyscy rzucili się do pomocy... wszyscy wypełnili swoje obowiązki” - powiedział reporterom. Miejskowa handlarz winem mówiła, że ukrywała klientów w swojej piwnicy z winami przez dwie godziny. Według mediów mężczyzna jest obywatelem Francji po trzydziestce i mieszka w La Cotiniere, wiosce na zachodnim wybrzeżu wyspy Oleron. Prezydent Emmanuel Macron monitoruje sytuację podczas swojej podróży do Brazylii na szczyt klimatyczny COP30.



ENERGIA JUTRA ZACZYNA SIĘ DZIŚ

**Bezpieczeństwo zapewnimy
poprzez własne źródła i gaz LNG
dostarczany naszymi gazowcami.
Energia elektryczna powstanie
w budowanych przez nas
elektrowniach gazowych.**

Wielki triumf Niemiec na Konferencji w Locarno

Mariusz Grabowski
Historia

100 lat temu, 5 października 1925 r. rozpoczęła się konferencja w Locarno, stolicy szwajcarskiego kantonu Ticino. Przez dziesięć dni Niemcy przekonywały świat, że upokorzone po Wielkiej Wojnie są gotowe ponownie wejść do międzynarodowej polityki

Gdy 16 października kładziono ostatnie podpisy pod traktatami, Niemcy mogły mówić o ogromnym dyplomatycznym sukcesie. Zaledwie trzy lata wcześniej, w Rapallo, wynegocjowały sobie klauzule najwyższego uprzywilejowania w stosunkach z Rosją Sowiecką, teraz zabezpieczały granice od strony zachodniej.

Rodzi się traktat

Art. 1 traktatu (tekst za wydaniem polskim z 1925 r.) stanowił: „Wysokie Strony Umawiające się gwarantują indywidualnie i zbiorowo, tak jak to postanowiono w następnych artykułach, utrzymanie terytorjalnego status quo, wynikającego z granic między Niemcami a Belgią i między Niemcami a Francją, oraz nietykalność rzeczonych granic, tak jak są ustalone traktatem pokojowym, podpisanym w Wersalu dn. 28-go czerwca 1919 r. (...) odnoszących się do strefy zdemilitaryzowanej”.

W art. 2 precyzowano: „Niemcy i Belgia, oraz Niemcy i Francja, zobowiązują się wzajemnie nie dokonywać ataku ani najazdu, oraz nie uciekać się, ani z jednej, ani z drugiej strony, w żadnym wypadku do wojny”.

A w art. 3 dodawano: „Biorąc pod uwagę zobowiązania, przyjęte w artykule 2 niniejszego traktatu, Niemcy i Belgia, oraz Niemcy i Francja zobowiązują się załatwiać drogą pokojową i w sposób poniżej ustalony wszystkie sprawy, jakiegokolwiek byłyby rodzaju, które mogłyby je dzielić, a które nie mogłyby być uregulowane w drodze zwykłego postępowania dyplomatycznego”.

Pokojowe Noble

Jesienią owego roku do Locarno zjechała się elita dyplomatycznego świata. Niemcy były reprezentowane przez ministra spraw zagranicznych Re-

publiki Weimarskiej Gustava Stresemanna i ówczesnego kanclerza Hansa Luthera. Na zaproszenie przybyli ministrowie spraw zagranicznych: Francji - Aristide Briand, Wielkiej Brytanii - Joseph Austen Chamberlain, Włoch - Benito Mussolini oraz Belgii - Emil Vandervelde.

Do Locarno przybyli również polski minister spraw zagranicznych Aleksander Skrzyński oraz przedstawiciel Czechosłowacji Edvard Beneš. Obaj jednak nie zostali dopuszczeni do udziału w obradach przy głównym stole, mogli jedynie obserwować dyplomatyczną ofensywę Niemców.

A także słuchać chełpliwych wypowiedzi Chamberlaina, który konferencję lokarnęską kwitował tak: „Odtąd nie ma już zwycięzców i zwyciężonych”. Za swoje zasługi w Locarno otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. Identycznie uhonorowano też Stresemanna i Brianda, tyle że w 1926 r.

Niemcy w Lidze Narodów

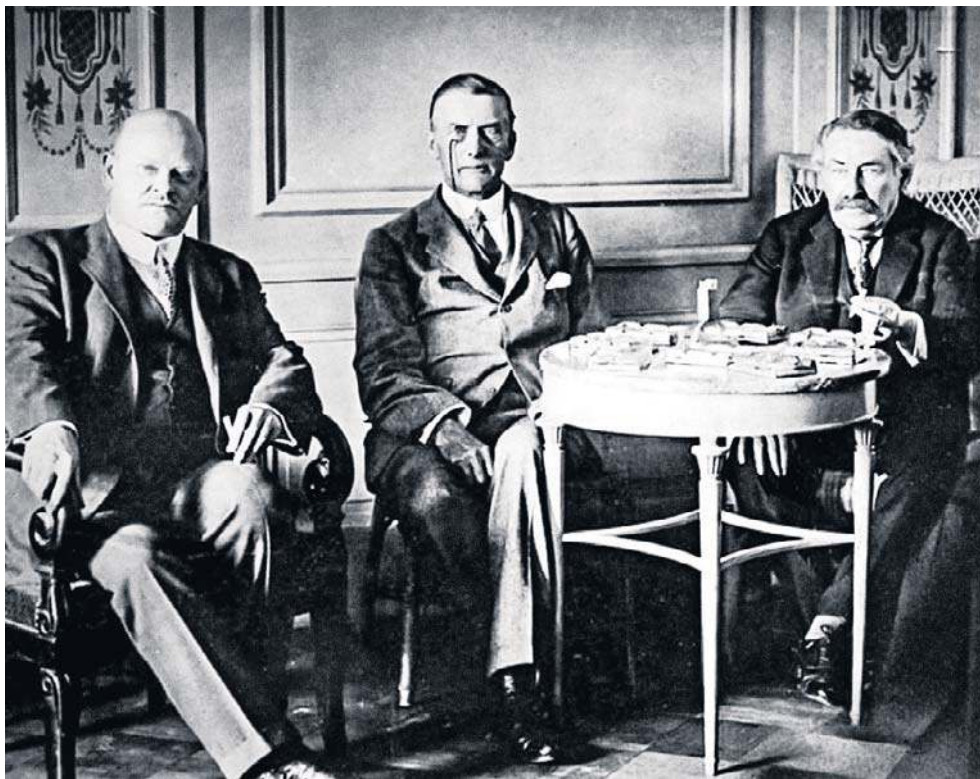
Niewątpliwie układ z Locarno był wielkim sukcesem Niemiec, które powróciły do pierwszej ligi europejskich potęg. Na Zachodzie panowało przekonanie, że między dawnymi wrogami z czasów Wielkiej Wojny będzie możliwa pokojowa koegzystencja.

Miało to swoje praktyczne konsekwencje: zmieniono harmonogram spłat niemieckich kontrybucji, a w następnym roku umożliwiono Niemcom dołączenie do Ligi Narodów. Należały doń formalnie od 8 września 1926 r., wystąpiły zaś 21 października 1933 r.

Pozornie miało to wzmocnić tę międzynarodową organizację, utworzoną na mocy postanowień wersalskiej konferencji, jednak Locarno udowodniło, że bezpieczeństwo zbiorowe gwarantowane przez układy wielostronne nie ma takiej siły sprawczej jak tradycyjne umowy dwustronne między poszczególnymi państwami.

Istnieją dwie Europy

Istotą traktatu był tzw. pakt reński, podpisany przez Niemcy z Francją, Belgią, Wielką Brytanią i Włochami. To on gwarantował nienaruszalność granicy między Niemcami a Francją i Belgią, przy czym



Gustav Stresemann (Niemcy), Austen Chamberlain (Wielka Brytania) i Aristide Briand (Francja) w Locarno w 1925 r.

Wielka Brytania i Włochy miały w razie agresji ze strony Niemiec lub Francji udzielić pomocy stronie napadniętej.

Układy lokarneńskie potwierdzono w Londynie 1 grudnia 1925 r., a ratyfikowano w następnym roku (złożenie dokumentów ratyfikacyjnych w Sekretariacie Ligi Narodów w Genewie 14 września 1926 r.). Intencją twórców było obowiązywanie „tak długo, aż na żądanie którejkolwiek z Wysokich Stron Umawiających się notyfikowane innym Mocarstwem podpisującym trzy miesiące na przód, Rada Ligi większością co najmniej dwóch trzecich głosów, stwierdzi, że Liga Narodów zapewnia Wysokim Stronom Umawiającym się dostatecznie gwarancje” wówczas wygaśnięcie nastąpić miało po upływie jednego roku. W praktyce weszły one w życie na lat dziesięć, gdyż Niemcy wypowiedziały je w 1936 r., po rozpoczęciu remilitaryzacji Nadrenii.

Stresemann rządzi

W Europie postanowienia Locarno uznano za ogromny sukces. Konferencja przyczyniła się do poprawy politycznej, zaś „duch Locarno” unosił się nad Europą przez kolejne lata. Owo poczucie bezpieczeństwa i pokoju okazało się jednak bardzo złudne.

Niemcy robili wszystko, aby powrócić do dawnej potęgi, krok po kroku odrzucając wszystkie ograniczenia narzucone na nich jako kara za wywołanie Wielkiej Wojny. Poczucie krzywdy za traktat wersalski było ogromne, a większość społeczeństwa niemieckiego popierała dążenia zmierzające w kierunku odzyskania pozycji sprzed 1914 r.

Gustav Stresemann uznany został niemalże za bohatera narodowego. Owocem jego pokojowej polityki w zachodniej części Europy było uzyskanie przez Niemcy pozycji równorzędnego partnera na arenie międzynarodowej i pozwoliło im odgrywać - jak dowodzono - „rolę stosowną do ich pozycji gospodarczej”. Pozycji Stresemanna nie przeszkodziło nawet podpisanie przezeń w imieniu Niemiec, latem 1928 r., tzw. paktu Brianda-Kellogga, nakazującego rezygnację z wojny bez rozróżnienia na wojny agresywne i obronne.

Polska z boku

Zupełnie inną politykę niż wobec Zachodu Stresemann prowadził wobec Polski. Jego głównym celem była likwidacja „polskiego korytarza”. Środkiem nacisku na Rzeczpospolitą stała się dlań mniejszość niemiecka i rozpoczęta w 1925

r. wojna celna między Polską a Niemcami.

Bardzo mylił się korespondent PAT na konferencję, który donosił, że „Pakt wschodni jest osią rozmów w Locarno”, a minister Skrzyński, spotykając się ze Stresemannem i Chamberlainem, odgrywa podczas prowadzonych tam rozmów rolę „decydującą”. Było wręcz przeciwnie - układy lokarneńskie otworzyły Niemcom drogę do rewizji granicy z Polską. Wprawdzie rozbrogone Niemcy do użycia siły jeszcze nie były zdolne, ale niczego na przyszłość nie wykluczano.

Mimo wielu starań, by na konferencji zagwarantowano również granicę polsko-niemiecką, polscy dyplomaci nie uzyskali w tej kwestii wsparcia mocarstw zachodnich. Gwarancję granicy wschodniej zadeklarowała jedynie Francja, z którą Polska i tak już była w sojuszu od 1921 r.

„Czy z tego będzie wojna?”

W Locarno podpisano ponadto cztery układy arbitrażowe, które Niemcy zawarły z Francją, Belgią, Polską i Czechosłowacją, oraz dwa układy gwarancji wzajemnej między Francją z jednej strony a Polską i Czechosłowacją z drugiej.

Art. 1. umowy Niemiec z Polską brzmiał: „Wszelkie sporne sprawy między Niemcami a Polską, jakiegokolwiek byłyby rodzaju, co do których Strony zaprzeczałyby sobie wzajemnie pewnego prawa, a które nie mogłyby być załatwione polubownie w drodze zwykłego postępowania dyplomatycznego, będą poddane dla osądzenia bądź to Trybunałowi Rozjemczemu, bądź też Stałemu Trybunałowi Sprawiedliwości Międzynarodowej, tak jak jest to przewidziane poniżej”.

Było jasne, że w obronie swych zachodnich granic Polska musiała liczyć odtąd głównie na własne siły. Po kilku latach Piłsudski na słowa francuskiego ministra zapewniającego, że Francja nie ustąpi Niemcom w sprawie Polski, odparł dość trzeźwo: „Nie, nie, niech mi Pan wierzy, ustąpicie, na pewno ustąpicie”.

A może Mussolini?

Sejm RP przystąpił do ratyfikacji traktatu z Locarno wiosną 1926 r. Publicysta „Polaka”, organu Narodowej Partii Robotniczej, tak komentował dyskusję w parlamencie (wydanie z 4 marca 1926 r.): „Analizując następnie układy lokarneńskie mówca (poseł Stronnictwa Narodowego Stanisław Stroński) dochodzi do przekonania, że Niemcom udało się wprowadzić różnicę między nienaruszalnością swoich granic wschodnich i zachodnich. Opinia ta panuje zarówno we Francji, jak i w Niemczech. Poza tym sojusznik francusko-polski wyszedł z Locarno osłabiony, gdyż został uzależniony od orzeczenia innych państw, czy zachodzi wypadek zastosowania sojuszu czy też nie. Francja bowiem w niesieniu pomocy Polsce jest związana paktem reńskim. Francja wie, że bezpieczeństwo jej związane jest z bezpieczeństwem Polski, że jeżeli straci placówkę nad Wisłą, to nastąpi atak nad Renem. Francja jednak nie potrafiła uzyskać zagwarantowania granic Polski. Szczęśliwem zdarzeniem, oświadcza mówca, jest odkrycie Włoch przez politykę Polski. Mussolini oświadczył, że zrozumie znaczenie Polski, może więc i polityka polska zrozumie znaczenie Włoch pod kierunkiem Mussoliniego”.

tygodnik Regionów

Piątek, 7.11.2025

ROZMOWA

Danuta Ziętara ma swoje sposoby, aby zachęcić dzieci do filatelistyki **str. 14**

ROZMOWA

Jarosław Dworzyński przenosi młodych bohaterów do X wieku **str. 15**

RECENZJA

„Oko prezesa” i inne książki. Sprawdź, którą chciałbyś/chciałabyć przeczytać **str. 16**



To serial nie tylko o katastrofie, ale też dramat psychologiczny i sądowy

3000 statystów, 2000 pojazdów, 70 różnych lokacji, 700 ton wody, 1 kilometr konstrukcji deszczownic i trawersów - serial „Heweliusz” został zrobiony na bogato **str. 12-13**

„Heweliusz” wszedł właśnie na Netflix. - Nigdy wcześniej nie robiliśmy takiej produkcji - mówi reżyser Jan Holoubek

Agata Maksymiuk
Szczecin

Żeby zrealizować ten serial, wiele musieli nauczyć się od zera, równie wiele wymyślić samodzielnie. Produkcja była wymagająca zarówno technicznie, jak i emocjonalnie. Bo choć „Heweliusz” nie jest dokumentem, to nawiązuje do zdarzeń wciąż będących otwartą raną dla wielu. - Wielka premiera odbyła się 5 listopada. A jak wyglądało przygotowanie największej polskiej realizacji Netflixa, opowiedział nam reżyser Jan Holoubek.

3000 statystów, 2000 pojazdów, 70 różnych lokacji, 700 ton wody, 1 kilometr konstrukcji deszczownic i trawersów - jak zapanować nad takim rozmachem produkcji?
Na szczęście to wszystko nie wydarzyło się jednego dnia, a rozłożyło na wiele dni zdjęciowych. Metodą małych kroczków nad wszystkim można zapanować.

„Heweliusz” to największa polska produkcja Netflixa, a zarazem największa katastrofa morska w powojennej Polsce. Jaki ciężar ma odpowiedzialność za tak dużą realizację?
Poczucie odpowiedzialności towarzyszyło nam od pierwszej myśli o tym projekcie. Mówimy o prawdziwej tragedii, o czymś, co wydarzyło się naprawdę. Dla wielu ludzi ta katastrofa wciąż jest żywą raną. I właśnie w tym obszarze lokalizowałem ciężar, o który pytasz. Rozmach produkcji to zupełnie inna kwestia.

By połączyć ze sobą wszystkie elementy, nagrywaliście w specjalnych studiach w Brukseli i Warszawie. Czy to prawda, że w wielu przypadkach byliście pierwszą ekipą z tak skrojonymi planami i ambicją?
Wszystkiego nauczyliśmy się od zera. To prawda, że nigdy wcześniej nie robiliśmy takiej produkcji. Sporo rzeczy musieliśmy wymyślić sami i zrobić po swojemu. Za nami wiele testów, wiele prób wiatru i wody, a także prób rozmiaru fal, jakie jesteśmy w stanie osiągnąć w basenie. Od ich siły



Reżyser Jan Holoubek po raz pierwszy pracował nad tak dużą produkcją

popękała betonowa wylewka wokół basenu. Po wszystkich ludziach z Brukseli powiedzieli nam, że nigdy nie robili efektów na tak dużą skalę. Można powiedzieć, że robienie tej katastrofy w całości było nowością. Nie przypominam sobie, żeby w Polsce powstał projekt obrazujący katastrofę promu. Co więcej, wydaje mi się, że ostatnio nigdzie na świecie nie widziałem żadnej świeżej produkcji w tym temacie.

Jak aktorzy odnaleźli się w tych warunkach? Śliskie nawierzchnie, znaczne przekłady podłoża imitującego pokład promu i wiele godzin spędzonych w wodzie...
Nasza ekipa to również liczni fachowcy, którzy wcześniej przygotowywali aktorów do nagrywania tych scen - przede wszystkim kaskaderzy pod kierownictwem Macieja Maciejewskiego. Pracę rozpoczęli na kilka miesięcy przed zdjęciami - można powiedzieć, że miało to charakter programu treningowego dla aktorów.

W praktyce uczyli ich na nowo pływać, ponieważ sama umiejętność pływania rekreacyjnego, jaką posiadamy, nie wystarczyła dla tej produkcji. Aktorzy jeździli na specjalne baseny wojskowe, gdzie można stworzyć warunki fali i mgły. Tam uczyli się nie wpadać w panikę, np. podczas utraty orientacji albo podtopienia. Dzięki temu zespół aktorski był naprawdę dobrze przygotowany. Zdjęcia w basenie w Belgii były bardzo wymagające i przede wszystkim wyczerpujące fizycznie. Aktorom pomagała cała ekipa - dziewczyny z kostiumów, dziewczyny z charakteryzacji. Aktor po takim ujęciu wychodzi z wody i trzeba się nim natychmiast zaopiekować. Mieliśmy na planie

Ludzie ze studia w Brukseli powiedzieli nam, że nigdy nie robili efektów na tak dużą skalę, jak przy naszym „Heweliuszu”

masażystę, lekarza - i często ich pomoc była potrzebna.

Czy to właśnie te zdjęcia były najtrudniejsze do zrealizowania?
Cały czas skupiamy się na sekwencji katastrofy. Natomiast serial w dużej mierze dotyczy tego, co się działo po katastrofie. Opowiada o tym, co stało się już po wszystkich - w izbach morskich. Co działo się z ofiarami, a w zasadzie z rodzinami ofiar oraz ludźmi, którzy przeżyli. Więc pod względem emocjonalnym wydaje mi się, że to były najtrudniejsze zdjęcia. Natomiast od strony fizycznej niewątpliwie była to realizacja katastrofy. I powiem szczerze - każdy dzień, zarówno w Polsce, jak i w Brukseli, był trudny. Albo z powodu zimna, albo gorąca, albo bardzo trudnych warunków, w jakich aktorzy musieli walczyć z grawitacją czy falami w wodzie. Było wiele trudnych dni i momentów, gdy musieliśmy ich mocno wspierać.

Serial jest inspirowany historią „Heweliusza”, ale nie jest przełożeniem jej jeden do jednego na ekran. Jak wyznaczyć przebieg tak cienkiej granicy?
Próbujemy pokazać pewne mechanizmy, które uruchomiły się natychmiast po katastrofie: szukanie winnych, próbę zwaleni odpowiedzialności, ukrywanie niewygodnych faktów dotyczących stanu technicznego promu i przestrzegania procedur, trudności rodzin ofiar z uzyskaniem odszkodowań. Generalnie ten serial w dużej mierze jest dramatem psychologicznym i sądowym. Wydawać by się mogło, że to dosyć statyczna historia, ale tak nie jest. To wszystko, co wydarzyło się po zatonięciu promu, ma niesłychaną dramaturgię - być może większą niż sama katastrofa.

Wokół tej historii narosło też wiele teorii spiskowych. Czy one również stanowiły inspirację?
Nie nazwałbym tego teoriami spiskowymi. Wzięliśmy

pod uwagę wszystkie głosy, które pojawiły się przez te wszystkie lata, i nie wydaje mi się, żebyśmy używali jakiegokolwiek teorii spiskowej w przypadku tej katastrofy. Każda z wysuniętych hipotez miała możliwość się wydarzyć. Poza tym - „teorie spiskowe” brzmią niedobrze, a staraliśmy się opowiedzieć tę historię bardzo uczciwie.

Na przedpremierę serialu wybraliście Szczecin. Skąd wybór tej lokalizacji?
W zasadzie nigdy wcześniej nie mieliśmy okazji skonfrontować całych dwóch odcinków z prawdziwą publicznością, dlatego powiedziałbym, że to nie przedpremierą, a premierą. I bardzo ważny dla nas wieczór. Miejsce nie jest przypadkowe. Dla regionu Polski ta katastrofa była i jest szczególnie ważna. Chcieliśmy w ten sposób złożyć hołd ofiarom, a także wszystkim osobom związanym z tą tragedią. ©

TŁUMY NA SPECJALNYCH PRAPREMIERACH W SZCZECINIE I GDYNI

Mieszkańcy Szczecina i Gdyni, którym udało się zdobyć zaproszenia, mieli okazję obejrzeć dwa pierwsze odcinki „Heweliusza” przed jego ekranową premierą. Byli zgodni, że serial od pierwszych scen wciąga i nie pozwala się oderwać, choć sceny nie zawsze są łatwe w odbiorze.

„Heweliusz” jest pięcioodcinkową opowieścią o jednej z największych katastrof w dziejach powojennej żeglugi. W nocy z 13 na 14 stycznia 1993 r. polski prom „Jan Heweliusz” zatonął, a Bałtyk pochłonął aż 55 istnień. Uratowało się zaledwie dziewięciu członków załogi... I na tym etapie zazwyczaj opowieść o losach „Heweliusza” się kończy.

Jan Holoubek i Kasper Bajon postanawiają jednak pójść o krok dalej i eksplorują ogromny, choć rzadko poruszany, fragment tej historii. Na ocalałą dziewiątkę oraz rodziny zmarłej załogi spadła fala oskarżeń, niesprawiedliwości i poczucia winy.

Twórcy w symboliczny sposób oddają głos tym, którzy nie mieli szansy się obronić i przedstawić tej historii z własnej perspektywy.

W Szczecinie film zebrał gromkie, kilkuminutowe owacje. Po nich rozpoczęło się spotkanie z twórcami.

- Z panią Jolantą Ułasiewicz spędziłam kilka godzin - wyznała Magdalena Rózcicka, odtwórczyni głównej roli. - Bardzo mi to pomogło. Mam świadomość, że fizycznie może nie jesteśmy podobne, ale psychicznie rozumiemy się doskonale. Podczas realizacji zdjęć nie myślałam o tym, jak pani Jolanta odbierze ten obraz. Na pewno byliśmy w kontakcie cały czas, na pewno przyjmowa-

waliśmy jej uwagi, jej zdanie było dla nas bardzo ważne. Ale starałam się nie myśleć o odbiorze.

Z kolei Jan Holoubek przyznał, że gdy rozrysował ten serial, powiedział do Magdy Rózcicki, że chyba rozrysował coś, czego nie jest w stanie zrobić. Jednak zrobił, choć - jak podkreślił - wszystko dzięki wspaniałemu zespołowi, który towarzyszył mu na każdym kroku.

Bartek Kaczmarek, odpowiedzialny za zdjęcia do serialu, podsumował, że chciał, aby obraz nawiązywał do myśli blue monday w styczniowy wieczór.

W Gdyni seans pozostawił publiczność w głębokiej zadumie, choć przede wszystkim - z apetytem na więcej.

- To nie jest historia, która się skończyła tamtego dnia. Ona w pewnym sensie trwa dalej - mówił podczas spotkania w Gdynskim Centrum Filmowym Kasper Bajon.

Aby w pełni docenić kunszt reżyserski i scenograficzny, trzeba obejrzeć serial do końca. To swego rodzaju układanka, która odkrywa przed nami kolejne wskazówki z odcinka na odcinek.

- Dopiero w ostatnim odcinku widz zrozumie wszystko - mówi Jan Holoubek.

Nie zmienia to jednak faktu, że już dwa pierwsze odcinki, które gdynianie obejrzeli przedpremierowo, wystarczyły, aby poruszyć nawet najgłębiej skrywane emocje.

„Heweliusz” to serial katastroficzny - na ekranie często widzimy więc sceny przechylonego promu bezwładnie szarpanego przez wysokie i gwałtowne fale sztormowe. Widz nie musi znać historii „Heweliusza”, żeby zrozumieć, że statek z całą pewnością



FOT. JAKUB STEINBORN

Prapremiera w Gdyni

wkrótce zatonie, a każdy, kto zdążył wcześniej opuścić pokład i tak ma nikłe szanse na przeżycie. Wokół nie ma nic, a woda jest lodowata.

Uderzający realizm w każdym kadrze i świadomość nieuchronności katastrofy robią ogromne wrażenie. Gdy dodamy do tego muzykę i świetną realizację dźwiękową, efekt jest dosłownie wbijający w fotel.

Publiczność w Gdyni doceniła także wiernie odwzorowanie realiów Polski lat 90.

- Nie ma jeszcze skansenów z tamtych cza-

sów - mówi żartobliwie scenograf - Trzeba było tworzyć wszystko od zera - od samochodów, przez wnętrza, aż po całe blokowiska. Intensywne emocje po seansie dwóch pierwszych odcinków wyczuwalne były jeszcze na długo po napisach końcowych. W sali panowała długa i pełna refleksji cisza, która trwała aż do momentu wejścia twórców na scenę. Jakby po szalejącym sztormie w końcu nastał spokój.

Agata Maksymiuk

Maja Czech

REKLAMA

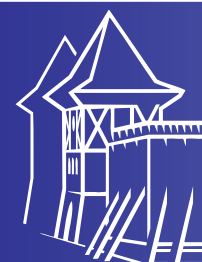
0011427455



SOLANKI
Uzdrowsko Inowrocław

Czas na zdrowie

Zimowa oferta jubileuszowa



150 LAT
UZDROWISKA
INOWROCŁAW
1875-2025



Zakwaterowanie



Śniadania i kolacje w bufecie szwedzkim, obiady serwowane do stolika



Konsultacja lekarska



4 zabiegi dziennie (oprócz niedziel i dni świątecznych)



90 min. dziennie w Strefie Relaksu (sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)



Voucher do Integracja Cafe



52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320



medicalspa@solanki.pl, recepcja@solanki.pl



www.solanki.pl

Analogowe hobby ma szansę. Rośnie młode pokolenie filatelistów

Wojciech Lesner
Słupsk

Dla niej znaczek to nie tylko kawałek papieru, ale i małe dzieło sztuki. Danuta Ziętara – prezes Okręgu Koszalińskiego Polskiego Związku Filatelistów i przewodnicząca Koła PZF „Gryf” im. Tadeusza Ziętary w Słupsku – opowiada, jak w czasach smartfonów udaje się jej zainteresować młodzież analogowym hobby.

Filatelistyka, wydawałoby się, to obecnie wymierające hobby. Czy udaje się pani pozyskiwać nowych członków do słupskiego koła?

Koło rozwija się bardzo dynamicznie. Przybyło dużo nowych osób. Na dziś mamy 14 członków, a zaczynałam od 7. Były takie przypadki, że przeważnie panowie przychodzili na pocztę przy ulicy Banacha [tam odbywają się spotkania koła - red.] i prosili o kontakt telefoniczny ze mną. Tak też było na przykład z jednym panem, który ma dziewięćdziesiąt lat. Skontaktował się ze mną i powiedział, że ma trochę nieuporządkowanych znaczków, a słyszał, że młodzież zaczyna się nimi interesować. Ofiarował mi te znaczki, a ja we wrześniu przekazałam je dzieciom. Wydaje mi się, że najważniejsze jest rozpowszechnianie wiedzy na temat tego, że to koło filatelistyczne w ogóle funkcjonuje. Podejrzewam, że dużo starszych osób właśnie takie kolekcje posiada. Kiedyś filatelistyka była potęgą. Jak rozmawiam z dziećmi, to dosłownie każde z nich albo przynosi klaser, albo mówi, że dziadek, babcia, wujek, ciocia kiedyś zbierali znaczki. Zresztą ja też rozpoczęłam się nimi interesować w latach dziecięcych. Nawet nie pamiętam dokładnie, kiedy - tylko tatuś opowiadał mi, że bawiłam się nimi, mając 6 lat czy 7 lat. Wciąż jednak jest sporo osób, które aktywnie zbierają znaczki - kupują nowe, wymieniają się tymi starymi i faktycznie siedzą w tym hobby głęboko. Udaje się zachęcać całkiem nowe osoby. W tym roku w styczniu powołałam klub miłośników filatelistyki przy Pomorskiej Akademii Kształcenia Medycznego w Słupsku. Już cztery osoby z tego klubu przeszły do koła „Gryf”.



Danuta Ziętara ma swoje sposoby, aby zachęcić dzieci i młodzież do filatelistyki

Prowadzi też pani zajęcia filatelistyczne z dziećmi i to z powodzeniem. Jak udaje się jej zachęcić do tak analogowego hobby w czasach komputerów i smartfonów?

Z dziećmi mam zebrania co tydzień w szkołach w Siemianicach i Bierkowie. Często zadają mi pytania, dlaczego nie przyjeżdżam do nich trzy razy w tygodniu, bo bardzo chcą się spotkać i uczestniczyć w zajęciach! Od marca działa koło w Szkole Podstawowej w Bierkowie. Tam uczęszcza ponad 20 dzieci. Starsi chłopcy są bardzo zainteresowani, żeby uczestniczyć w tych zajęciach. Powiem szczerze, że w obecnej dobie komputeryzacji trudno jest zachęcić dzieci samym spotkaniem i zbieraniem znaczków. Muszę stosować różne metody, żeby dzieci te zajęcia miały bardzo atrakcyjne. Dla mnie najważniejsze jest propagowanie filatelistyki, ale dzieci nie bardzo to rozumieją. One przychodzą na zajęcia i chcą robić coś ciekawego. Rozwiązujemy krzyżówki związane z tematyką filatelistyki. Przygotowuję dla nich puzzle pocięte w arkuszu A4 w kształcie znaczka. Ukła-

dają sobie te puzzle, wymieniają się między sobą znaczkami, opowiadam im o różnych dziedzinach przedstawianych na znaczkach. Dzieci z Siemianic przygotowują się do konkursów i już byliśmy trzeci raz w finale ogólnopolskiego konkursu młodzieżowego wiedzy filatelistycznej. Dwa lata temu byłam w Toruniu. W zeszłym roku byłam z dziewczynkami, które zakwalifikowały się do finału w Oleśnicy, a w tym roku w Olsztynie.

Brzmi jak spore osiągnięcie. Czy to duże wyzwanie dla dzieciaków?

Tam spotyka się młodzież z całej Polski. Dzieci mierzą się z testami, ale nie tylko z wiedzą filatelistyczną. Jednym z zadań jest test wiedzy tematycznej. Są bardzo trudne pytania, do przyswojenia jest dużo materiału historycznego. Potem jest trzecia seria zadań, czyli praca z katalogiem, w której młodzież musi wykazać się umiejętnością korzystania z katalogu filatelistycznego. Tutaj chcę się pochwalić, bo moje dziewczynki z Siemianic mają bardzo dobrze opanowany katalog, aku-

rat w tej serii pytań były nawet lepsze od chłopców osiemnastoletnich, którzy nie bardzo umieli się nim posługiwać. A to wcale nie jest takie łatwe. Jest dużo symboli, trzeba wiedzieć, jak szukać znaczków, jeżeli nie widnieje na nim rok wydania. Później jest jeszcze czwarta seria zadań. Niby to się nazywa zabawa ze znaczkami, ale dzieci, wychodząc z tego zadania, mówią, że to nie zabawa, tylko wyzwanie, bo tak trudne są pytania. W tym roku na przykład tematem była druga wojna światowa. Podane były do nazwania samoloty, czołgi, statki wojenne, okręty wojenne. Podejrzewam, że nawet historycy mogliby mieć z tym problem. Ale uważam, że wróciliśmy z dużym sukcesem, bo 10-letnie dziewczynki uplasowały się na szóstym i siódmym miejscu w kraju.

Oprócz młodych, filatelistycy potrzebni są także ci starsi. Czym konkretnie zajmuje się okręg filatelistyczny, któremu pani przewodniczy?

Zawsze jakąś strategię rozwoju okręgu trzeba ułożyć i działać według niej. Dużą uwagę zwraca się na wysta-

wiennictwo. Jeżeli jest możliwość to w okręgu koszalińskim, a jeżeli nie to uczestniczy się w wystawiennictwie ogólnopolskim. Ostatnio była na przykład międzynarodowa wystawa filatelistyczna w Zgorzelcu. Trzeba też nadzorować wszystkie koła i współpracować z nimi. Teraz jest ich w naszym okręgu 16. Działają w mniejszych i większych miejscowościach - w Koszalinie jest kilka, w Słupsku też nie jestem jedyna, bo jest jeszcze drugie koło. Jest też Brzeźno, Złocieniec, Szczecinek, Miastko. Poza tym okręg jest łącznikiem między zarządem głównym w Warszawie a lokalnymi filatelistami. Zadania takiego okręgu to oczywiście propagowanie filatelistyki przez różnego rodzaju wydawnictwa. Mój plan jest w tej chwili taki, żeby w tym roku odwiedzić wszystkie koła, sprawdzić, jakie mają problemy, błądki, co można wspólnie razem zrobić, żeby nie tylko współpracować z prezesami, ale ze wszystkimi członkami kół.

Czy widzi pani szansę, że młodzież, z którą pani pracuje, zo-

stanie w przyszłości członkami dorosłego koła?

Gdyby nawet było to 20 proc. osób, które uczęszczają na zajęcia, to byłabym zadowolona. Zdarzają się niestety takie sytuacje, że młodzież łapie bakcylię związaną z filatelią, jednak potem następuje przerwa w hobby - ja też taką miałam z powodu wyjazdu z rodzinnego miejsca zamieszkania i studiów. U kobiet jest najtrudniejsza sytuacja, bo jak się zakłada rodzinę, są małe dzieci, to o filatelistycę trudno jest myśleć. Ale jej się chyba nigdy nie porzuca. To często pasja na całe życie.

Jakie obecnie są największe zagrożenia dla rozwoju filatelistyki? Do głowy przychodzi mi obecna sytuacja Poczty Polskiej...

To dla nas ogromne zagrożenie. Zamiast skupić się na wydawnictwach walorów filatelistycznych... zresztą, samemu można sprawdzić, co się na pocztach dzieje. To są sklepy, gdzie można kupić prawie wszystko. Dla przykładu w Danii do końca tego roku kalendarzowego będzie sprzedany ostatni znaczek. Od stycznia przyszłego roku tradycyjna poczta nie będzie istniała. U nas może to iść w podobnym kierunku, bo przecież już listu poleconego nie wysyła się ze znaczkiem, tylko jest kod kreskowy. Jest też bardzo mało wydawanych folderów filatelistycznych, a kiedyś było tego bardzo dużo.

To na koniec może coś na zachętę dla osób, które filatelią się nie interesują. Dlaczego warto zbierać znaczki i co jest w nich takiego fascynującego?

Znaczek to jest przepiękna sztuka. To jest arcydzieło, to jest historia. To jest dzieło na malutkim skrawku papieru. Kiedyś nie było takich ładnych znaczków, jak w tej chwili. One są naprawdę przyciągające. Niosą też ze sobą walory edukacyjne. To jest malutka encyklopedia. Jest na nich ukazana droga, którą przechodzi świat. Na znaczkach znajdziemy wszystkie dziedziny - geografie, historię, florę i faunę, sport, kosmos. Chyba nie ma tematu, którego by nie było przedstawionego na znaczku. ©©

Marek Jaszczuński
Szczecin

Coby się stało, gdyby współcześni mieszkańcy Szczecina trafili tysiąc lat wstecz - do czasów przed Mieszkiem I? Taki pomysł miał Jarosław Dworzyński, dziennikarz i autor książek, których akcja toczy się w naszym regionie. Właśnie ukończył powieść „Przeniesieni”, łączącą historię, fantastykę i lokalny klimat.

Zapowiadałeś powieść, w której młodzi ludzie z XXI wieku zostają przeniesieni do X wieku. Została zakończona?
Tak. Jej tytuł to „Przeniesieni”. Zaprojektowałem też okładkę, na której znalazły się kluczowe elementy fabuły: dziki las, mężczyzna i kobieta z walizką oraz samolot.

Dlaczego to ważne elementy powieści?
Zacznę od tego, jaki to rodzaj książki. To miks stylów. Główny rdzeń stanowi historia, ponieważ para spod Szczecina przed trzydziestką z jakiegoś powodu przenosi się w czasie o tysiąc lat - bez przygotowania, bez mapy, bez gwarancji powrotu - i musi zmierzyć się z realiami tamtej epoki. A są one zupełnie inne niż wszystko, co znamy dziś. Osady składają się z kilku niskich, ciasnych chat krytych strzechą. Nie ma chodników ani dróg - tylko kręte, wydeptane ścieżki. Wszędzie kurz albo błoto. Ludzie są brudni, bo nie mają środków ani warunków, by wyglądać inaczej. Ich ubrania są proste, często przesiąknięte dymem i potem. Mówią językiem, który brzmi znajomo, ale nie do końca jest zrozumiały. A jedzenie? To kasze, placki, ryby i to, co znajdują w lesie. Nie ma frytek, bo nie ma ziemniaków, nie ma pizzy, bo nie ma pomidorów...

Nie ma też smartfonów i internetu.
Dokładnie. Dla współczesnych bohaterów, Zoji i Skwary, którzy jeszcze niedawno mieli w kieszeni telefony i dostęp do sieci, znalezienie się w takiej rzeczywistości to ogromny szok kulturowy i egzystencjalny. Nagle trafiają w świat, w którym życie toczy się powoli, ale jest twarde i bezlitosne.

To historyczny rdzeń, ale co jeszcze znajdziemy w powieści?
Oczywiście jest też element fantastyczny, bo mamy przeniesienie w czasie. Ale od razu podkreślam: w książce wszystko zostanie dokładnie wyjaśnione. Co się stało i dlaczego - nie zostawię czytelników bez odpowiedzi. Ważnym aspektem jest również warstwa, którą nazywam

Jak żyć bez smartfona i frytek? „Przeniesieni” pokażą, jak żyło się w naszym regionie przed wiekami



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

„czarnolustrzaną”. Wielu z nas zna serial „Czarne lustró” - chodzi o wykorzystanie najnowszych technologii i konsekwencje tych działań. Na razie nie zdradzę szczegółów, żeby nie było spoilerów.

A dlaczego na okładce pojawia się dziki las, walizka i samolot?
Samolot, bo powieść zaczyna się od serii katastrof lotniczych, które wywołują chaos na całym świecie. A pierwsza ma miejsce w Szczecinie. Kto za tym stoi? To starają się ustalić media i bez przerwy o tym myślą moi bohaterowie - Zoja Maj i Sebastian „Skwara” Kwarczyński. Dziki las, bo właśnie tam trafiają na początku, zagubieni i dezorientowani. Walizka jest w niej znajduje, pomaga bohaterom przetrwać w nowym świecie. Jest tam m.in. lustro i paralizator, które pozwalają im zdobyć wyższą pozycję i status w osadzie nad Odrą, do której docierają.

Akcja powieści toczy się w naszym regionie?
Tak. Osada, do której trafiają bohaterowie, leży pod Szczecinem, nad Odrą, na wznieśnię, w miejscu, gdzie we wczesnym średniowieczu rzeczywiście istniało osadnictwo. Akcja dzieje się też w Szczecinie sprzed tysiąca lat oraz w okolicznych wsiach, takich, jak Kołbaskowo czy Ustowo. W mojej powieści nazywają się odpowiednio Sętyń, Klbasko i Ostowo.

Skąd takie nazwy?
Zależało mi, by jak najwierniej oddać realia epoki. Osada wyglądała tak, jak mogła wyglądać tysiąc lat temu: niskie chaty, prosty tryb życia, uboga dieta i specyficzne zwyczaje. Język mieszkańców przypomina naszą mowę, ale brzmi też jak inny język słowiański. Moi bohaterowie mają wrażenie, że rozmawiają z Czechami - rozumieją sporo, ale nie wszystko. Na potrzeby książki opracowałem specjalny język, nazwę go „polański”. Każde



FOT. ARCHIWUM

słowo wypowiediane przez mieszkańców sprawdziłem pod kątem pochodzenia, czy wywodzi się z praszlowiańskiego. To wymagało sporo pracy, ale nadaje powieści klimatu. Z czasem młodzi osadnicy zaczynają uczyć się współczesnego języka od Zoji i Skwary - padają słowa takie jak „sztosik” czy „okej”. W ogóle zderzenie światów ludzi współczesnych z tymi sprzed tysiąca lat, to znakomite możliwości dla autora. Tyle ciekawego i zabawnego się wtedy może dziać. Miałem przy tym mnóstwo zabawy.

Tysiąc lat temu to czasy sprzed Mieszka I. Czy pojawiają się w powieści postacie historyczne?
Tak. To czas przed chrystianizacją tych ziem. W powieści pojawia się Mieszko I, ale jako nastolatek, z którym moi bohaterowie mają styczność. Zoja zresztą ciągle, z lekką ironią i błędnie mówi do Skwary: „Ten gówniarz to pierwszy król Polski?”. Pojawia się też

jego ojciec Siemomysł. Poświęciłem owemu zacnemu mężowi ładny opis. Także ojcu Siemomyśla. Może przyda się młodym uczniom na lekcję historii. W książce są także inne ciekawe moim zdaniem opisy, na przykład ówczesnego Szczecina, a także całego regionu. Jeśli ktoś jest ciekawy, jak wyglądały te ziemie tysiąc lat temu, musi przeczytać „Przeniesionych”.

Kiedy powieść ukaże się na rynku?
Trudno powiedzieć. Historia jest napisana i teraz będę wysyłał ją do wydawnictw. Niestety, mimo że mam na koncie wydaną i świetnie ocenianą powieść „Kłamca spuszczone ze smyczy”, thriller, którego akcja dzieje się w gminie Kołbaskowo i Szczecinie, a która na portalu Lubimy Czytać ma średnią aż 8,8, to nadal dla wydawnictw jestem nowym autorem. To oznacza, że wydanie książki często odbywa się w formule współfinansowania, czyli wydawnictwo

oczekuje ode mnie pokrycia połowy kosztów - a to kilkanaście tysięcy złotych. To dla mnie zbyt dużo, dlatego rozważam samodzielne wydanie książki. Szukam sponsorów, którzy by mnie w tym przedsięwzięciu wsparli. Zainteresowani mogą mnie znaleźć na Facebooku lub portalu X.

Masz też inne napisane powieści.
Tak. To kontynuacja pierwszej książki zatytułowana „Gra kłamcy” oraz lekka powieść obyczajowo-komediowa „Weekend na krzywy ryj”. W ich przypadku sytuacja jest podobna - są wydawnictwa zainteresowane publikacją, ale oczekują wkładu finansowego. Zgodziłem się na współfinansowanie przy pierwszej powieści, traktując to jako inwestycję, a także po to, by przekonać się, jak wygląda współpraca z profesjonalnym wydawnictwem. Na więcej jednak nie mogę sobie pozwolić. Teraz, gdy mam już ukończone trzy kolejne książki, zamierzam poświęcić czas na ich stopniowe wydawanie. Wcześniej byłem zajęty samym pisaniem, a do tego mam obowiązki zawodowe, więc brakowało mi czasu na proces wydawniczy.

Dla kogo przeznaczona jest powieść „Przeniesieni”?
Najbardziej chciałbym, żeby przeczytali ją młodzi ludzie. Zobaczyliby wtedy, że kiedyś świat wyglądał zupełnie inaczej - że codzienne życie było walką o każdy dzień. Że świat był ogromny, a podróż 20 kilometrów do Szczecina mogła zająć cały dzień. Że nie było frytek, truskawek, meczów ani zwykłych chodników. Jednocześnie powieść może być świetną lekturą także dla dorosłych. We Francji komedia „Goście, goście”, w której rycerz z giermkiem trafia do naszych czasów, nadal jest wielkim hitem na miarę naszych „Samych Swoich”. Podobnie kulturowy stał się serial „Outlander”, w którym główna bohaterka, sanitariuszka Claire, przenosi się w czasie - choć tylko o 200 lat. Motyw podróży w czasie zawsze wzbudza ciekawość i działa na wyobraźnię. ©©

KSIAŻKI

Nie przyznam się, nie ja zabiłam
Grzegorz Głuszak

Wydawnictwo Prószyński i S-ka. Rozwinięcie tytułu: „Beata Pasik i zbrodnia w butik Ulimo”. Od wydawcy: „Grudzień 1997 roku. W warszawskim butik Ulimo pada sześć strzałów. Mężczyzna ginie na miejscu, kobieta – kierowniczka sklepu – cudem przeżywa. Oskarżona zostaje Beata Pasik, pracowniczka sklepu. Choć sąd dwukrotnie ją uniewinnia, za trzecim razem – na podstawie tych samych dowodów – zapada wyrok: 25 lat więzienia”. Fakty, dokumenty, zeznania: zebrane i opisane skrupulatnie. Szok podczas lektury, że to nie fikcja, tyle prawdziwe życie. Zmarnowane życie kobiety. Polecam, choć nie jest to książka łatwa w odbiorze. **(MARA)**

Oko prezesa
Monika Luft

Wydawnictwo LTW. Podtytuł: „Telewizja PRL od Sokorskiego do Drawicza. Od wydawcy: „Kto ma władzę, ten ma telewizję. Dzieje peerelowskiej TVP ukazane poprzez sylwetki dziesięciu prezesów Radiokomitetu. Dziełom wielu z nich było komunistycznymi aparaczkami. Ośmiu należało do partii, jeden służył w jednostkach NKWD, dwaj związani byli ze służbami specjalnymi PRL, jeden z opozycją antykomunistyczną. Wokół nich krążyli ich protegowani oraz ci, którzy popadli w niełaszkę”. Fakty, nazwiska, historie znane i nieznane. Jerzy Urban jest oczywiście także. Kawał historii PRL-u, kawał dobrego reportażu o władzy, mediach i manipulacji. Polecam. **(MARA)**

Cała prawda o rodzinie
Lisa Scottoline

Wydawnictwo Prószyński i S-ka. Od wydawcy: „TJ jest największym rozczarowaniem w rodzinie Devlinów. Wszyscy jej członkowie to cenieni prawnicy. Tylko TJ – po wyjściu z więzienia i zakończeniu terapii odwykowej – dorabia tam jako śledczy. Podczas rodzinnej imprezy najstarszy brat wyznaje mu, że zabił księgowego, którego przytapał na oszustwie. TJ postanawia wykorzystać tę sytuację, by udowodnić swoją wartość i ocalić dobre imię brata”. Rodzina ma też swoje mroczne strony, a prawo niekoniecznie oznacza sprawiedliwość. Rodzinna czarna owca to dobrze dobrany główny bohater. Lektura na jeden wieczór. **(MARA)**

Hiroszima. Najważniejszy reportaż XX wieku
Adam Mirek

Wydawnictwo Znak Emotikon. Rozwinięcie tytułu: „Natura wrze, bulgocze i wybuch”. Od wydawcy: „Weź udział w przygodzie pełnej szalonych eksperymentów, dzięki którym poznasz otaczający cię świat od zupełnie nowej strony. Podążaj ścieżką sekretów nauki w poszukiwaniu skradzionego kryształu i odkryj odpowiedzi na pytania, od których nawet naukowcom parują mózgi. Jedno jest pewne: coś tu śmierdzi. I to dosłownie, fuji! Chodź, powąchaj!” Świetna książka, której bohater - zwariowany naukowiec Florek z kurą na ramieniu - zachęci młodych czytelników do zgłębiania nauk ścisłych i przyrodniczych. Fantastyczne. **(MARA)**

Cały świat Anni
Anti Saar

Wydawnictwo Widnokrąg. Od wydawcy: „Anni ma trzy lata, tatę i mamę, i dwóch starszych braci: Matsa i Samuela. Ma też łóżko i szafę na ubrania, ulubione pluszaki i domek dla lalek, który Mats zrobił jej na urodziny. Ma też mały plecak z przyklejoną w środku gumą do żucia, która wcale nie chce się odkleić. Kiedy zakłada plecak na głowę, może ją polizać! Codzienna podróż widziana oczami trzyletniej Anni jest pełna niespodzianek i bardzo kolorowa. Każda, nawet najmniejsza rzecz może przynieść radość, albo przynajmniej nowe doświadczenie”. Dla maluszków, którym poczyta Mama czy Tata. Dziecko znajdzie w tej książce siebie i swój świat. Polubicie. **(MARA)**

Księga Poku
Edgar Valter

Wydawnictwo Widnokrąg. Od wydawcy: „Świędzenie pięć to znak, że pora wyruszyć na wielką przygodę. Najlepiej do Estonii, śladem Pokuludków, trawiastych skrzatów, które nie potrafią żyć bez odrobiny wilgoci pod stopami. Bo przecież i nam zwykle niewiele więcej potrzeba do szczęścia. Na pierwszy rzut oka stworzenia zwane Poku wyglądają jak skrzyżowanie trolla z turczyką kępkową. Żyją dyskretnie, są przyjazne i ciekawe, ale boją się ludzi. Artysta i autor książek dla dzieci Edgar Valter był jednym z niewielu szczęśliwców, którzy kiedykolwiek zdobyli ich zaufanie”. Zabawne, słodkie i świetnie zilustrowane. Pokochacie ludek Poku. **(MARA)**

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 94 347 35 12
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń:

Oddział Koszalin: ul. Partyzantów 17, 75-411 Koszalin, tel. 94 347 35 12
Oddział Słupsk: ul. Henryka Pobożnego 19, 76-200 Słupsk, tel. 59 848 81 03
Oddział Szczecin: Al. Niepodległości 26/U1, 70-412 Szczecin, tel. 91 48 13 310

RUBRYKI W OGŁOSZENIACH DROBNYCH:

■ NIERUCHOMOŚCI
■ HANDLOWE
■ MOTORYZACJA

■ FINANSY/BIZNES
■ NAUKA
■ PRACA

■ ZDROWIE
■ USŁUGI
■ TURYSTYKA

■ BANK KWATER
■ ZWIERZĘTA
■ ROŚLINY, OGRODY

■ MATRYMONIALNE
■ RÓŻNE
■ KOMUNIKATY

■ ŻYCZENIA
■ /PODZIĘKOWANIA
■ GASTRONOMIA

■ ROLNICZE
■ TOWARZYSKIE

Handlowe

JUBILERSTWO

SKUP złota i srebra, wszystkie próby,
ul. Młyńska 63, K-lin 509-345-577.

Zdrowie

NEUROLOGIA

SPEC. Neurolog. NFZ. Bez kolejek.

Codziennie. Koszalin, 605-284-364

Usługi

AGD RTV FOTO

PRALKI naprawa w domu, 603 775 878

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic -
tradycyjne turnusy Świąteczne,
tel.: 501-642-492.

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

AUTOREKLAMA

Polecamy →

strona KOBIEC

O kobietach i dla kobiet

stronakobiet.pl

REKLAMA 0011247910

OMEGA WYCENY OBRÓT

SŁUPSK, UL. STARZYŃSKIEGO 11
tel. 59 841 44 20
601 654 572
www.nieruchomosci.slupsk.pl
omega@nieruchomosci.slupsk.pl

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

eprasa.pl 65da0769e1

KOMIKS

Detektyw Herkules Poirot
wygląda jak żywy

Egmont wypuścił „Wigilię Wszystkich Świętych” – kolejny komiks na kanwie powieści kryminalnej Agathy Christie. Powieść wydano w Wielkiej Brytanii w 1969 roku. Autorem scenariusza tej adaptacji jest Francuz Dominique Ziegler, natomiast rysunki wykonał pochodzący z Chile Cristián Montes.

Poirot patrzy i już wie

Podczas przyjęcia dla dzieci z okazji halloween zostaje popełnione morderstwo, którego ofiarą pada nastoletnia dziewczyna, Joyce Reynolds. Ktoś wepchnął jej głowę do miski z wodą i przytrzymał. Jedyną wskazówką jest to, że dziewczyna wcześniej głośno chwaliła się, że była świadkiem morderstwa.

Dochodzenie w tej sprawie podejmuje – co oczywiste – Herku-les Poirot. Mimo podeszłego wieku i choroby, detektyw wytrwale dąży do rozwiązania sprawy. Niestety, ofiar przybywa: w podobny sposób zamordowany zostaje również młodszy brat Joyce, Leo-pold. Poirot szybko odkrywa, że kluczem do rozwiązania zagadki musi być jakaś dawna miejscowa zbrodnia, o której wiedziały dzieci. Wszczyna więc śledztwo w sprawie kilku zawiłych spraw z przeszłości.

Ubrany jak dandys

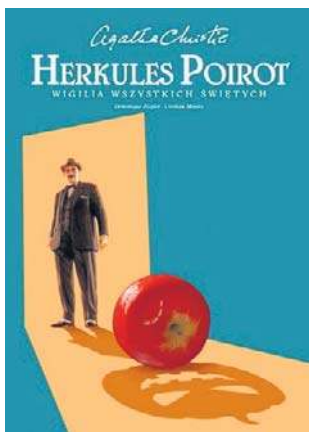
Herkules Poirot, as kryminologii, który pojawia się w ponad 30 książkach Agathy Christie, to powstać estetycznie rozpoznawalna na pierwszy rzut oka. To przede wszystkim zasługa filmów, w których go widzieliśmy, ale też wskazówek samej pisarki. Wiemy zatem, że jest niski, ma jajowatą głowę, starannie pielęgnowane wąsy i „ubiór dandysa”, choć z urodzenia jest Belgiem.

Podobnie jak wielu innych detektywów z tzw. złotego wieku powieści kryminalnych, jest stanu wolnego (jak np. panna Marple czy Sherlock Holmes). Wie wszystko i zna wszystkich. Poza tym jest bogaty jak nabab. W jednej z powieści okazuje się wręcz, że jest jedną z najbardziej wpływowych osób w Anglii – kuma się z rodziną panującą i pije herbatki z premierem i arystokratami.

„Cóż za wąsy, Herkulesie!”

W Egmontowym komiksie Poirot pojawia się już na okładce, ale szczegółowiej możemy mu się przyjrzeć na str. 14. Stoi tam w całej swej detektywistycznej okazałości. Okazuje się, że wcale nie jest niski – kawał z niego chłopca. Cristián Montes ubrał go w garnitur koloru dark brown (zmienia go na str. 59 na jasną marynarkę), buty z getrami i wyposażył w muchę i dewizkę. Na głowie ma kapelusz.

Najbardziej istotna jest kwestia wąsów. Wąsy Herkulesa Poirota są gęste, krótko przycięte i charakterystycznie zakręcone do góry na końcach, tworząc elegancki, symetryczny kształt. Ich stylizacja wymaga przycinania do równej długości około jednego centymetra i użycia wosku do uformowania końcówek w charakterystyczny huk. Można się spierać, czy to wąsy typu imperial, czy bardziej handlebar (co ciekawe, Kenneth Branagh grający detektywa w serialu „Poirot” nosi wąsy typu hungarian), ale trzeba przyznać, że Cristián Montes wyrysował je tutaj idealnie. **grab**



Agatha Christie, Dominique Ziegler, Cristián Montes, „Wigilia Wszystkich Świętych”, wyd. Egmont, Warszawa 2025, cena 39,99 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

EWA CHODAKOWSKA

Jest właśnie
inwigilowana

„Gazeta Wyborcza” ujawniła niedawno wyniki badań fundacji Pro-Test, która wzięła pod lupę dziewięć przekąsek należących do marek Ewy Chodakowskiej i Anny Lewandowskiej. Najgorzej wypadł batonik firmowany przez pierwszą z celebrytek – BeRaw! Kids, w którym znaleziono ślady aż jedenastu różnych pestycydów. W odpowiedzi Chodakowska napisała na Facebooku: „Jestem prześwietlana i inwigilowana na każdym kroku. Nie mogę popełniać błędów. I gdyby moje produkty były szkodliwe, zostałyby zdjęte z rynku. Kup sobie owoce, zmiiksuj z orzechami, miodem, ziarnami kakao, daktylami – będziesz miała taki sam skład jak moje przekąski. To nie są produkty przetworzone”.

MACIEJ KURZAJEWSKI

Miał gorący
doping

Tuż po ślubie dziennikarz poleciał z żoną do Nowego Jorku, aby wziąć udział w tamtejszym maratonie. Kurzajewski nie biegł sam – towarzyszył mu młodszy syn Julian, z którym chętnie pozował do zdjęć przed startem. Na trasie mogli liczyć na gorący doping Kasi Cichopek, która z entuzjazmem kibicowała mężowi i pasierbowi. Przy okazji małżonkowie zwiedzili miasto – od tętniącego życiem Times Square, przez Rockefeller Center z kultowym lodowiskiem, po słynne Radio City Music Hall. Wybrali się też do muzeum Madame Tussauds, gdzie Kasia miała okazję wtulić się w muskularne ramiona Dwayne’a Johnsona. W programie wizyty nie zabrakło też wypadu na Broadway, gdzie podziwiali słynny musical „Moulin Rouge”.

DOMINIKA GAWĘDA

Wszystko
przed nią

Wokalistka grupy Blue Cafe przerwała milczenie po rozstaniu z Maciejem Szczepanikiem z zespołu Pectus, z którym była w małżeństwie



Dorota Szelańska przybrała nieco na wadze po rzuceniu palenia, ale już udało się jej schudnąć

przez osiem lat. W wywiadzie dla serwisu Jastrząb Post zdradziła, że rozwód przebiegł spokojnie za porozumieniem stron. – Nie wiem, jak będzie, ale najważniejsze jest to, że rozstaliśmy się w zgodzie i była to nasza wspólna decyzja. A teraz realizuję siebie w nowym etapie życia i myślę, że skończyłam 40 lat i piękne jest to, że wszystko jest przede mną – stwierdziła. Na koniec dodała, że czuje się gotowa na nową miłość: – Zainteresowanie jest duże. Pozdrawiam wszystkich mężczyzn.

DOROTA SZELAŃSKA

Kocha siebie
niezmiennie

Celebrytka jakiś czas temu rzuciła palenie, co sprawiło, że przybrała nieco na wadze. Wtedy podjęła decyzję o wprowadzeniu zmian w swojej codziennej rutynie i z czasem zdecydowanie schudła. Stało się to pretekstem do wywiadu, jakiego właśnie udzieliła „Twojemu Stylowi”. W rozmowie Szelańska zauważyła, że podobnie jak w relacjach z bliskimi można mieć swoje preferencje dotyczące wyglądu, ale nie powinny one wpływać na uczucia, jakie żywimy wobec siebie. – Nie podobam się sobie, jak jestem grubsza, ale to nie zmienia faktu, że siebie kocham. Tak samo, jak nasz partner może nam się podobać w jednej fryzurze bardziej niż w innej, ale to nie zmienia naszej miłości do niego – stwierdziła.

IWONA PAVLOVIĆ

Ma wszystko
ułożone

Jurorka „Tańca z gwiazdami” jest żoną biznesmena Wojciecha Oświecimskiego. Kiedy w niedawnym wywiadzie dla Plejady zapytano ją, jak godzi obowiązki zawodowe z rodzinnymi, odpowiedziała: – Idealnie. Kiedy trzeba, jeżdżam tutaj, kiedy trzeba, jestem w domu, kiedy trzeba, prowadzę bardzo dużo gal, turniejów tańca, imprez, eventów. Mam wszystko naprawdę dobrze ułożone, a jeszcze w tym wszystkim bardzo pięknie pomaga mi mój mąż, który czasami staje się moim opiekunem, moim bezpieczeństwem, moim kierowcą, wszystkim.

MARTA NAWROCKA

Nie czuła żalu

Pierwsza dama RP udzieliła wywiadu „Vivie”. Opowiedziała o tym, jak musiała zrezygnować z pracy zawodowej w związku z prezydenturą męża. – To nie była łatwa decyzja, bo przez osiemnaście lat byłam częścią służby celno-skarbowej. Pracowałam w zespole, który był jak rodzina, z ludźmi, z którymi tworzyliśmy coś trwałego. To była praca konkretna, wymagająca, ale uczciwa. Miałam sens. Jako funkcjonariusz publiczny nie mogłam angażować się w kampanię prezydencką, więc złożyłam wniosek o urlop bezpłatny – wyznała.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Odważnie ruszaj naprzód! Intuicja podpowie Ci właściwą drogę. Horoskop dzienny radzi zaufać jej całkowicie.

Ryby (19.02 - 20.03)

Nie ulegaj emocjom. Horoskop na dziś radzi unikać pochopnych decyzji. Dzięki temu odzyskasz spokój.

Baran (21.03 - 19.04)

Kreatywność w zenicie! Horoskop dzienny na piątek wróży, że rozmowa z kimś bliskim przyniesie inspirację i nowe możliwości.

Byk (20.04 - 20.05)

Emocje na pierwszym planie – nie uciekaj od nich. Horoskop dzienny zapowiada, że w szczerości znajdziesz siłę oraz zrozumienie.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)

Twoja charyzma będzie przyciągać ludzi, więc działaj. Horoskop na dziś wróży, że sukces jest w zasięgu ręki.

Rak (22.06 - 22.07)

Drobiazgi mają znaczenie. Horoskop dzienny na piątek mówi, że porządek w myślach przyniesie klarowność oraz satysfakcję z pracy.

Lew (23.07 - 22.08)

Równowaga jest kluczem do udanego dnia. Horoskop dzienny radzi postawić na harmonię w relacjach z innymi osobami.

Panna (23.08 - 22.09)

Dzisiaj poczujesz intensywność uczuć. Kieruj nią mądrze. Horoskop na dziś zapowiada, że namiętność może dać Ci moc i spokój.

Waga (23.09 - 22.10)

Przygoda kus! Zrób coś spontanicznego. Horoskop dzienny na piątek mówi, że los nagrodzi Cię uśmiechem.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Cierpliwość dziś zapoczątkuje. Nie zniechęcaj się. Horoskop dzienny zapowiada, że każdy krok przybliży Cię do wyznaczonego celu.

Strzelec (22.11 - 21.12)

Zaskoczy Cię nowe spojrzenie na stary problem. Otwórz się na zmianę. Horoskop na dziś mówi, że znajdziesz dzięki temu lekkość.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Intuicja poprowadzi Cię do celu. Zaufaj przecuciom. Horoskop dzienny na piątek mówi, że one będą najlepszym drogowskazem.

Prawie 3,5 tys. km w jeden miesiąc. Na dwóch kółkach

Jakub Wróblewski
Rozmowa

Krzysztof Mróz z Choroszczy przejechał Polskę, by zebrać fundusze na leczenie chorych dzieci, podopiecznych Fundacji Naszpikowani. Za każdy przejechany kilometr podróży sponsorzy akcji wpłacali na konto fundacji złotówkę

Nigdy wcześniej nie jeździł pan zawodowo na rowerze, a mimo to podjął pan ogromne wyzwanie i ruszył w charytatywną podróż dookoła Polski. Ponad 3400 km w zaledwie miesiąc - to musiał być ogromny wysiłek. Skąd w ogóle wziął się ten pomysł?

Zaczął się zupełnie spontanicznie. Rok temu, wczesną wiosną, wybrałem się na krótką przejażdżkę rowerową, żeby oderwać się od codziennych obowiązków i trosk związanych z prowadzeniem firmy. W pewnym momencie pomyślałem: „Zrób coś, czego nigdy wcześniej nie robiłeś”. Początkowo nie wiedziałem, co to miało być, aż przypomniałem sobie moje marzenie z młodości - żeby objechać rowerem całą Polskę. Od razu poczułem, że to jest właśnie to. Wróciłem do domu, powiedziałem żonie, że chcę ruszyć w taką podróż, i od tamtej chwili wiedziałem, że muszę to zrobić.

A jak zareagowała żona?

Była zaskoczona. Powiedziała: „Co ty w ogóle opowiadasz?” (śmiech). Na początku nikt tak naprawdę mi nie dowierzał, bo wiadomo - człowiek czasem rzuca różne pomysły. Ale ja od samego początku byłem przekonany, że naprawdę wyruszę w tę podróż.

A kiedy narodziła się idea, że będzie to wyprawa charytatywna?

Zawsze miałem w sercu potrzebę pomagania, dlatego - gdy narodził się pomysł wyprawy - pomyślałem, że szkoda by było, gdyby to było tylko moje osobiste wyzwanie. Chciałem, żeby ta podróż niosła ze sobą coś więcej. Początki nie były łatwe - nie wiedziałem, jak się za to zabrać ani do kogo zwrócić. W końcu trafiłem do Fundacji Naszpi-

kowani i to był strzał w dziesiątkę. Otrzymałem od nich ogromne wsparcie - pomogli z logistyką, znalezieniem sponsorów, zorganizowali trenera personalnego, dostęp do siłowni, a nawet rower i całe niezbędne wyposażenie!

Czyli nie wystartował pan z dnia na dzień, tylko porządnie się przygotowywał?

Od początku roku intensywnie ćwiczyłem na siłowni, a gdy nadeszła wiosna, rozpocząłem regularne treningi na rowerze. Najtrudniejsze było pogodzenie tego wszystkiego z pracą i obowiązkami domowymi - brakowało czasu, a długie dystanse to był ogromny wysiłek. Miałem momenty zwątpienia, obawiałem się, że sobie nie poradzę. Do tego dochodziły głosy z zewnątrz - wielu ludzi mówiło mi, że to za duże wyzwanie, że nie dam rady. Nawet osoby z doświadczeniem rowerowym odradzały mi ten pomysł.

Pan się jednak nie zniechęcił.

Paradoksalnie te wszystkie wątpliwości i głosy krytyki działały na mnie mobilizująco. Ogromnym wsparciem okazał się Piotr Krajewski, prowadzący serwis rowerowy w Choroszczy, który sam ma doświadczenie rowerowe. Powtarzał mi, że bym nie słuchał negatywnych komentarzy i odcinał się od nich. Upewniał mnie, że skoro na treningu potrafię przejechać 70 kilometrów, to dam radę zrobić i 100. Jego słowa naprawdę dodały mi siły i wiary. Poza tym czułem, że nie jestem sam - wiele osób śledziło moje przygotowania, kibicowało mi i wysyłało wiadomości ze wsparciem. Dzięki temu wiedziałem, że to, co robię, ma sens.

Mówi się, że najgorzej jest coś zacząć...

Kiedy po raz pierwszy rozpisałem całą trasę i zobaczyłem, jaki to dystans, przyznam

Każdego dnia najważniejsze było dla mnie, żeby dojechać z punktu A do punktu B. W ten sposób łatwiej było mi dźwigać ciężar całej wyprawy



FOT. PAWEŁ BALEJKO

- Kiedy podczas drogi doskwierała mi samotność, modliłem się i dużo śpiewałem - mówi Krzysztof Mróz, który w Choroszczy zakończył swój rajd wokół Polski

szczerze - trochę mnie to przytłoczyło. Dlatego zmieniłem podejście i postanowiłem nie myśleć o całości, tylko skupiać się na tu i teraz. Każdego dnia najważniejsze było dla mnie, żeby dojechać z punktu A do punktu B. W ten sposób łatwiej było mi dźwigać ciężar całej wyprawy - koncentrowałem się wyłącznie na kolejnym etapie, a w głowie miałem jedynie wizję następnego dnia.

Początki musiały być najtrudniejsze.

Dokładnie tak - wszystkiego musiałem się uczyć od podstaw. Na początku miałem złe ustawioną nawigację, która prowadziła mnie przez pola, lasy i piaszczyste drogi. Nieraz musiałem po prostu prowadzić rower zamiast na nim jeździć. Najtrudniejszy był odcinek w kierunku Rzeszowa. Później jednak stopniowo zaadaptowałem się do warunków i zacząłem przyzwyczajać się do rytmu trasy.

Były kryzysy?

Oczywiście. Na trasie towarzyszyły mi ulewę, burze, silny wiatr i wymagające górskie podjazdy. Do tego dochodziły problemy techniczne - nie zawsze miałem zasięg, więc nawigacja potrafiła odmówić posłuszeństwa. Raz, w okolicach Rzeszowa, źle mnie poprowadziła i trafiłem na wiszący most nad Wisłoką. Musiałem przejść przez niego pieszo, taszcząc cały sprzęt, a konstrukcja kołysała się przy każdym kroku. Innym razem, kiedy przejeżdżałem przez Odrę, telefon prawie wpadł mi do rzeki - w ostatniej chwili zatrzymał się na samym skraju mostu. Najbardziej ekstremalna sytuacja wydarzyła się jednak podczas jednej z burz. W tym samym czasie przebiłem oponę, a dodatkowo guma zabezpieczająca sakwę wkręciła się w tylną kasetę, całkowicie blokując rower. Stałem wtedy w szczerym polu, bez żadnego schronienia, z ulewnym deszczem lejącym się z nieba. Uratowała mnie zwykła folia malarska - rozłożyłem ją na ro-

werze, zrobiłem prowizoryczny namiot i tak przeczekałem ponad godzinę w środku burzy.

Z pewnością podczas tak długiej trasy doskwierała panu samotność.

Ogromnym wsparciem była dla mnie modlitwa. Kiedy podczas drogi doskwierała mi samotność, modliłem się i dużo śpiewałem. Największy kryzys związany z rozłąką z bliskimi dopadł mnie nad morzem, gdy widziałem rodziny spędzające razem czas. Wtedy szczególnie brakowało mi żony i dzieci. Na szczęście w Gdyni dołączyli do mnie - przyjechali specjalnie, żeby mnie wesprzeć, przytulić i dodać energii. Wspólne spacerowanie wzdłuż morza, rozmowy, śmiech - to było dokładnie to, czego potrzebowałem. Rodzina jest dla mnie napędem, tlenem i największą siłą.

Musiał pan także ograniczyć swoją działalność gospodarczą.

Nie miałem w tym czasie dochodu - musiałem zawiesić działalność gospodarczą i znacząco obniżyć koszty. Chciałem też trochę przez to pokazać, że nie zawsze warto gonić wyłącznie za pieniędzmi. Czasem warto poświęcić się dla innych i inwestować swój czas i energię w pomoc innym.

Taka podróż to zapewne także wiele nowych, poznanych na trasie osób.

Podczas tej wyprawy poznałem wielu wspaniałych ludzi - naprawdę trudno byłoby wszystkich wymienić. W Jaworznie spotkałem się z Pawłem i Martyną - rodzicami małego Kacperka, dla którego zbieram fundusze na operację. To spotkanie na długo zostanie w moim sercu - niezwykle ludzi, pełni siły i nadziei. W Golubiu-Dobrzyniu poznałem Adriana, młodego wojownika, który sześć lat temu wygrał najważniejszą walkę - o życie, po przeszczepie szpiku. Jego historia stała się dla mnie ogromnym źródłem motywacji i determinacji.

W poprzednią niedzielę w Choroszczy zorganizowano panu huczne powitanie. Jak zareagował pan, gdy wjechał rowerem i zobaczył tylu oczekujących na pana ludzi?

To była niezwykle wzruszająca chwila. Jestem ogromnie wdzięczny wszystkim, którzy tam byli. To z pewnością jeden z najpiękniejszych momentów całej wyprawy.

Zbiórka cały czas jest jeszcze otwarta, nadal można wspierać podopiecznych Fundacji Naszpikowani.

Zachęcam wszystkich do wsparcia poprzez Fundację Naszpikowani. Pomóżmy Izie, Kacperkowi, Mateuszowi i ich rodzinom - każda pomoc się liczy.

Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Czy ma pan już plan na kolejną wyprawę?

Marzy mi się udział w Ironmanie w szczytnym celu. Jeszcze nie jestem pewien szczegółów, ale wiem, że coś wymyślę. Na razie muszę odpocząć, bo trudy tej podróży dają się we znaki. Jednocześnie po tym doświadczeniu wiem jedno - „Nie ma, że się nie da”.

TENIS MORDERCZY MECZ IGI ŚWIĄTEK Z AMANDĄ ANISIMOVA. NIESTETY, POLKA WRACA JUŻ DO DOMU

Wszystkiemu winna jest... karma

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

No i stało się. Drugi rok z rzędu Iga Świątek kończy udział w turnieju „WTA Finals” na fazie grupowej.

Triumfatorka sprzed dwóch lat zawodów dla ośmiu najlepszych tenisistek sezonu, przegrała decydujące starcie w Rijadzie z Amerykanką Amandą Anisimovą 7:6(3), 4:6, 2:6 i z bilansem 1-2 zajęła trzecie miejsce w „Grupie Sereny Williams”.

A zaczęło się całkiem obiecująco. W pierwszym meczu prestiżowego turnieju w Arabii Saudyjskiej, Iga Świątek rozbiła w 61 minut Amerykankę Madison Keys 6:1, 6:2. Później przegrała jednak z Rosjanką z paszportem Kazachstanu – Jeleną Rybakiną 6:3, 1:6, 0:6 i w środę z 24-letnią, równo trzy miesiące młodszą, inną Amerykanką Amandą Anisimovą.

– Szczerze mówiąc, zrobiłam wszystko, co mogłam, więc niczego nie żałuję. Czułam, że jestem w formie, miałam pozy-

tywne nastawienie. Walczyłam i do końca się nie poddałam, ale to nie wystarczyło, i to mnie smuci. OK, może kilka piłek zagrałam za krótko, ale tenis nie jest taki, że będzie idealnie – twierdzi Świątek, cytowana przez stronę internetową WTA.

Od początku, spotkanie w Rijadzie było bardzo zacięte. W pierwszym secie Anisimova pewnie wygrywała swoje gemy serwisowe. Świątek już w gemie otwarcia musiała bronić break pointa. Sytuacja powtórzyła się w gemie dziewiątym, a dwóch broniła w gemie numer 11.

W tie-breaku to jednak Polka szybko przejęła inicjatywę. Od stanu 1-1 wygrała trzy piłki z rzędu. Wypracowanej wówczas przewagi nie roztrwoniła. Po 64 minutach pierwsza partia padła jej łupem.

W drugim secie to Świątek początkowo serwowała bez zarzutu. W trzecim gemie miała trzy szanse na przełamanie Amerykanki, ale żadnej nie wykorzystała. Walka gem za gem toczyła się do stanu 5:4 dla Ani-



Iga Świątek na korcie twardym „King Saud University Indoor Arena” w Rijadzie nie sprostała Amandzie Anisimovej i pożegnała się z turniejem

simovej. W tym momencie podanie zawiodło 6-krotną mistrzynię wielkoszlemową. Rywalka wykorzystała pierwszego break pointa, który jednocześnie był piłką setową.

W decydującej partii, od początku nakładała na Świątek dużą presję. W swoich dwóch

pierwszych gemach serwisowych oddawała tylko po jednej piłce. Polka natomiast trzech break pointów musiała bronić już kiedy pierwszy raz serwowała. Wówczas podopieczna trenera Wima Fissette’a jeszcze wyszła z opresji, ale gdy czwartego gema zaczęła od stanu

0:40, to odwrócić już go nie zdołała i zrobiło się 1:3.

Świątek szansę na odrobienie straty miała tylko raz, ale nie wykorzystała jej w siódmym gemie. Chwilę później ponownie dała się przełamać, co oznaczało pożegnanie z turniejem.

– Kiedy robisz wszystko, a to i tak nie wystarcza, to chyba znaczy, że po prostu musisz poprawić swój tenis – podkreślała Iga Świątek.

Raszynianka próbowała zdiagnozować przedwczesną absencję z „WTA Finals 2025”.

– Czułam się dobrze psychicznie i fizycznie – wyjaśniła. – Więc, naprawdę nie rozumiem, dlaczego nie mogłam wyjść z grupy. Nie wiem, może wygrałam za dużo w ubiegłym roku i to karma. Naprawdę trudno mi powiedzieć. To trochę dziwne. Nie spodziewam się tego, ale z moich doświadczeń wynika, że jeśli włożę w to tyle intensywności i determinacji i tak bardzo mi zależy, to zazwyczaj się to opłaca. Zobaczmy więc, czy będę dalej pracowała, czy to się opłaci, czy nie.

Zatem Iga Świątek wraca do kraju szybciej, niż planowała. I już w przyszłym tygodniu (14-16 listopada, Gorzów Wlkp.) poprowadzi reprezentację Polski w turnieju o awans do przyszłorocznych kwalifikacji Billie Jean King Cup. ©©

Wielkie hity nie zawiodły, głośno o występie Wojciecha Szczęsnego

Bartosz Głęb
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. W 4. kolejce fazy ligowej Ligi Mistrzów nie zabrakło niespodziewanych wyników oraz wielkich emocji. Hitowe starcia wygrały Bayern Monachium i Liverpool FC.

Defensywa Dumy Katalonii w meczu wyjazdowym z belgijskim Club Brugge była dziurawą niczym szwajcarski ser. Stojący w bramce gości Wojciech Szczęsny po raz pierwszy skapitulował już w 6. minucie, a tuż po upływie pierwszego kwadransa ponownie wyciągał piłkę z bramki. W drugiej połowie Polak został pokonany po raz trzeci, a jego kolegom z ofensywy udało się wyciągnąć tylko remis.

– Wydaje się, że mógł zrobić o wiele więcej przy dwóch pierwszych golach. Przy tak wysoko ustawionej drużynie bramkarz musi grać znacznie dalej do przodu. Puścił trzecią bramkę w drugiej połowie i prawie narobił wielkiego bałaganu pod koniec – napisał o Polaku kataloński dziennik Sport.

W doliczonym czasie gry, przy stanie 3:3, były bramkarz reprezentacji Polski postanowił wdać się z drybling we wła-

snym polu karnym. Stracił piłkę, która chwilę później zatrzepotała w siatce. Jednak prowadzący to spotkanie sędzia Antony Taylor uznał, że Wojciech Szczęsny był faulowany i trafienia Belgów nie uznał. Decyzja arbitra może jednak wzbudzać kontrowersje.

– Jakiego bałaganu mógł narobić Szczęsny! – podkreślił dziennik Marca.

W 58. minucie na boisku zameldował się Robert Lewandowski, ale nie był to ołśniewający występ kapitana reprezentacji Polski. Obrońcy Club Brugge nie pozwolili snajperowi w dojściu do jakiegokolwiek dobrej sytuacji strzeleckiej.

– Polski napastnik był odosobniony. Zastąpił Ferrana w ataku Barcelony, ale miał problemy z regularnym włączaniem się do gry – zaznaczył dziennik L’Esportiu.

Polscy piłkarze grali wyłącznie w środę. Oprócz wyżej wymienionej dwójki cały mecz w barwach Interu Mediolan rozegrał Piotr Zieliński. Wice mistrz Włoch mocno męczył się z kazachskim Kairatem Almaty, ale ostatecznie udało mu się wygrać 2:1. Przy pierwszej bramce mediolańczyków spory udział miał pomocnik reprezentacji Polski, który kapitalnym prostopadłym podaniem



FC Barcelona z Wojciechem Szczęsnym w podstawowym składzie i Robertem Lewandowskim, który wszedł z ławki, zremisowała na wyjeździe z Club Brugge 3:3

rozpoczął akcję swojej drużyny. Bramkarz Mateusz Kochalski zaliczył znakomity występ przeciwko londyńskiej Chelsea FC, a jego Karabach Agdam nie spodziewanie wywalczył remis 2:2 z czołowym angielskim klubem. Polak w drugiej połowie spotkania popisał się dwoma kapitalnymi interwencjami, ratując swój zespół przed stratą bramek.

Niestety, cały mecz na ławce rezerwowych Atalanty Bergamo przesiedział Nicola Za-

lewski. Ekipa polskiego skrzydłowego pokonała na wyjeździe Olympique Marsylia 1:0.

We wtorek natomiast mieliśmy wieczór hitów. Angielski Liverpool FC przed własną publicznością zatrzymał hiszpański Real Madryt, wygrywając 1:0, natomiast niemiecki Bayern Monachium pokonał na wyjeździe francuskie PSG 2:1. Spore emocje były też w Madrycie, gdzie Atletico pokonało belgijskie Royal Union SG 3:1, chociaż wynik mógł być zupełnie inny.

Druga połowa spotkania obfitowała w ogromne emocje.

Do dużej niespodzianki doszło natomiast w środę na Cyprze, gdzie tamtejszy Pafos FC pokonał przed własną publicznością hiszpański Villarreal CF 1:0.

Wracając jeszcze na moment do polskich wątków, w 4. kolejce fazy ligowej Ligi Mistrzów 2 spotkania prowadziły polskie zespoły sędziowskie. Szymon Marciniak był arbitrem głównym pojedynku Manchester

City – Borussia Dortmund, zakończony zwycięstwem The Citizens 4:1. Natomiast Damian Sylwestrak prowadził starcie FK Bodo/Glimt z AS Monaco, wygrane przez gości 1:0. W tym drugim spotkaniu w 81. minucie Polak pokazał czerwoną kartkę zawodnikowi gospodarzy.

Po 4 kolejkach tych elitarnych europejskich rozgrywek tylko 3 zespoły pozostały z kompletem punktów. Są to Bayern Monachium, Arsenal FC oraz Inter Mediolan. Na samym dnie pozostają natomiast Benfica Lizbona oraz Ajax Amsterdam. To spore zaskoczenie, biorąc pod uwagę, że nawet debiutujący kazachski Kairat Ałmaty ma na swoim koncie 1 „oczko”.

Nie można nie wspomnieć również o fantastycznym występie 18-letniego Dominika Sarapaty w Młodzieżowej Lidze Mistrzów. Nastoletni polski pomocnik, grający w barwach duńskiej ekipy FC Kopenhaga, strzelił gola i zaliczył 2 asysty w wygranych 3:2 pojedynku z Tottenhamem Hotspur.

Faza ligowa Ligi Mistrzów zakończy się dopiero pod koniec stycznia przyszłego roku. Finał tej edycji rozgrywek odbędzie się 30 maja na Puskás Arénie w stolicy Węgier – Budapeszcie. ©©

SPORT

www.sportowy24.pl

PIŁKA NOŻNA

Mecz młodzieżowych reprezentacji Polski i Włoch już 14 listopada w Szczecinie. Organizatorzy chcą ustanowić rekord frekwencji na meczu młodzieżówek (obecny to 11 496 kibiców) i są na dobrej drodze. W otwartej sprzedaży na stronie bilety.laczynaspilka.pl pozostało około 600 wejściówek w sektorze B. ZZPN sprzedaje też bilety na tzw. sektor gości (1200 sztuk). Szczegółowe informacje na stronie związku. Bilety po 20 i 40 zł.

PIŁKA NOŻNA

Weekend w IV lidze Pomorska IV liga rozegra w weekend 15. kolejkę. Z zespołów z regionu jako pierwsza na boisko wybiegnie w sobotę o godz. 11.00 Bytovia Bytów. Czekają ją wyjazdowe starcie z Jaguem Gdańsk. W tym samym dniu o 17.00 Gryf Słupsk podejmie Sokoła Bożepole Wielkie. W niedzielę o 11.00 regionalne derby Anioły Garczegorze - Piast Czulchów oraz spotkanie Chojniczanka II Chojnice - Pogoń Lębork. **JAK**

PIŁKA NOŻNA POGOŃ SZCZECIN - JAGIELLONIA BIAŁYSTOK, NIEDZIELA, GODZ. 17.30, STADION FLORIANA KRYGIERA

Pogoń bez Juwary, Jagiellonia bez Pululu

Jakub Lisowski
sport@gs24.pl

Hitowe spotkanie 15. kolejki dla Pogoni i Jagiellonii ma podobne znaczenie. Trzy punkty przybliżą do ligowej czołówki, zapewnią lepsze nastroje na listopadową przerwę w PKO Ekstraklasie.

Przed nami ostatnia przerwa reprezentacyjna w tym roku. Rozpocznie się w poniedziałek, stąd podczas weekendu mobilizacja ligowców powinna być większa.

Jagiellonia jest w czołówce (4. miejsce), ale dobrze wie, że musi solidnie punktować, by lokatę utrzymać lub poprawić na zimową przerwę. Ostatnio nie szło to najlepiej, bo „Jaga” przegrała dwa ostatnie mecze w lidze - w Zabrzu 1:2 i z Rakowem u siebie 1:2. Można by powiedzieć, że na mecz z Portowcami białostocczanie wyjdą mocno zmobilizowani i pewnie tak będzie, ale... czy będą mieć dość sił do walki? W czwartkowy wieczór grali na Bałkanach w ramach Ligi Konferencji. To spotkanie be-

dzie miało wpływ na występ w Szczecinie. I na skład, a na razie wiemy tylko tyle, że z powodu kontuzji nie będzie mógł zagrać pierwszy bramkarz tego zespołu - Sławomir Abramowicz, a za kartki będzie pauzował snajper - Afimico Pululu. Napastnik rok temu też nie zagrał w Szczecinie z tego samego powodu.

W Pogoni też będzie przymusowa pauza z powodu 4. żółtej kartki. W Płocku nie zagrał Linus Wahlqvist, a z Jagiellonią - Musa Juwara.

Właśnie kartka Gambijczyka w Płocku stała się mocnym tematem ostatnich dni. W zasadzie nie bardzo wiadomo, co skrzydłowy chciał osiągnąć symulując faul przeciwnika poza polem karnym? Teatralny upadek Juwary stał się piłkarskim memem, a kibice Pogoni domagali się nawet dodatkowego ukarania gracza. W końcu zareagował nawet Alex Haditaghi.

- Obrzydliwy i niesportowy incydent. Jego zachowanie było niedopuszczalne i nie odzwierciedla wartości tego klubu, naszych kibiców, jego kolegów z drużyny, miasta,



Musa Juwara nie zagra z Jagiellonią z powodu kartek

które reprezentuje, ani tego sportu. Pogoń reprezentuje uczciwość, sportową postawę i szacunek do gry, zawsze. To, co się wydarzyło, było poniżej standardów naszej organizacji i standardów, których oczekujemy od każdego, kto nosi herb naszej drużyny - podkreślił szef Pogoni. - Musa to bardzo młody zawodnik o wielkim sercu, dynamiczny zawodnik o ogromnym potencjale, ale to nie usprawiedliwia tego, co się wydarzyło. Nasz klub nie będzie

tolerował tego typu zachowań, które nie szanują gry, naszej organizacji lub naruszają nasze wartości. To już się nie powtórzy.

W ostatnich kilkunastu latach nie było sytuacji, by władze Pogoni publicznie reagowały na boiskowy wybryk swojego zawodnika. Ale w ostatnich tygodniach Juwara obniżył poziom sportowy i może tę okazję wykorzystali, by wstrząsnąć graczem. Kto go może zastąpić na prawej pomocy w me-

czu z Jagiellonią? Rozwiązań jest kilka. Najbardziej logiczna to Paul Mukairu, bo to też skrzydłowy, ale ten piłkarz grając od początku spotkań też nie prezentuje się najlepiej. Możliwe, że na prawą stronę przesunięci więc będą np. Rajmund Molnar, Adrian Przyborek czy Jakub Lis. Nie wiadomo, czy uraz zdąży wyleczyć Sam Greenwood, który też mógłby tam zagrać, podobnie jak Jose Pozo.

Sytuacja z kartkami w ekipie Portowców jest taka, że pauzowali już Wahlqvist i Marian Huja, więc teraz będą mieli większy spokój, a zagrożeni są (mają po 3 żółte kartki na koncie) - Leonardo Koutris oraz Danijel Loncar.

W ostatnich sezonach Pogoń przegrywała z Jagiellonią rywalizację w lidze, ale już w bezpośrednich spotkaniach były to zwycięstwa w Płocku i z Jagiellonią miały przełożyć się na to, że szczecinianie dołączą do ligowej czołówki. Plan drużyna może zrealizować w połowie, ale do „Jagi” zbliżyłaby się na 4 oczka. Jest więc o co walczyć w niedzielę. ©

a dla Jagiellonii Jesus Imaz. Podczas tamtego spotkania po raz pierwszy na trybunach szczecińskiego stadionu był Haditaghi oraz Tan Kesler. Zimą próbowali kupić szczeciński klub, co im się nie udało, ale w marcu dopieśli swego. W rewanżu też był remis 1:1, ale premiował on gospodarzy. Pogoń potrzebowała zwycięstwa, by zakończyć rozgrywki na 3. miejscu i reprezentować Polskę w eliminacjach Ligi Konferencji. Stawka była ogromna, na trybunach komplet widzów i świetna atmosfera. Pogoń objęła prowadzenie po голу Koulorisa, ale w drugiej połowie wyrównał Norbert Wojtuszek i to Białystok świętował miejsce na podium.

Teraz też podium oddała się od Portowców. Przed 15. kolejką Pogoń jest 13. w tabeli. Potencjał zespołu jest na wyższym lokacie, a zwycięstwa w Płocku i z Jagiellonią miały przełożyć się na to, że szczecinianie dołączą do ligowej czołówki. Plan drużyna może zrealizować w połowie, ale do „Jagi” zbliżyłaby się na 4 oczka. Jest więc o co walczyć w niedzielę. ©

Na koszykarzy Czarnych czeka Miasto Szkła, a po nim przegląd stomatologiczny

Wojciech Frelichowski
sport@gp24.pl

Koszykarze Energi Czarnych Słupsk są pod stałą kontrolą lekarską. To zarówno element profilaktyki zdrowotnej jak i przygotowania sportowego.

Ten zakres zawiera również opiekę stomatologiczną, którą w tym sezonie sprawuje Medicus Clinic.

W Słupsku koszykówka to coś więcej niż sport - to emocje, tradycja i wspólnota, która od lat jednoczy kibiców. W tym sezonie do tej wspólnoty dołączył Medicus Clinic, kierowana przez dr Ewę Abramowicz, stając się jednym z kluczowych partnerów zdrowotnych Energa Czarnych Słupsk. Obie strony łączy ta sama filozofia - konsekwencja, świadomość i długofalowe myślenie o zdrowiu i rozwoju. Bo w sporcie, podobnie jak

w medycynie, zwycięstwa nie rodzą się z przypadku - tylko z systematyczności i troski o detale.

Już 8 listopada zawodnicy przejdą kompleksowe przeglądy stomatologiczne i profilaktyczne w ramach nowego programu #ZostańWGrze - autorskiej inicjatywy Medicus Clinic, której celem jest edukacja, profilaktyka i wspieranie zawodników w utrzymaniu zdrowia na najwyższym poziomie. Medicus Clinic podkreśla, że to nie jest jednorazowa akcja, lecz element szerszej, długofalowej współpracy.

Medicus Clinic działa od ponad 25 lat. To jedna z najbardziej nowoczesnych klinik stomatologicznych w regionie. Jej założycielka, dr Ewa Abramowicz, od lat redefiniuje podejście do zdrowia, łącząc medycynę estetyczną, stomatologię cyfrową i filozofię holistycznego leczenia. W jej pracy technologia



Koszykarze ze Słupska pokazali moc w Toruniu i liczą na przedłużenie zwycięskiej serii

zawsze idzie w parze z empatią, a estetyka - ze zdrowiem. To podejście, które teraz przenosi również na grunt sportu.

- Sportowiec to nie tylko wynik i mięśnie. To system naczyń połączonych, w którym każdy element ma znaczenie. Zdrowie jamy ustnej wpływa na regenerację, odporność i koncen-

trację, dlatego tak ważna jest profilaktyka - podkreśla dr Ewa Abramowicz. - Wierzę, że #ZostańWGrze to coś więcej niż hasło. To filozofia, która mówi: dbaj o siebie, żebyś mógł grać swoją grę jak najdłużej - niezależnie, czy jesteś zawodnikiem, czy po prostu człowiekiem, który chce być w dobrej formie.

Co ważne, współpraca Medicus Clinic i Energa Czarnych Słupsk obejmuje nie tylko pierwszy zespół, ale również drużyny juniorskie i młodzieżowe.

Piątek z Miastem Szkła

Słupska ekipa po wielkim zwycięstwie w Toruniu, wraca do własnej hali. W 7. kolejce Czarni podejmą gości zespołu Krosna.

W poprzedniej rundzie słupska ekipa przełamała wyjazdową niemoc, a zdobyte 111 punktów jest najlepszym wynikiem bieżącego sezonu. Czarni po raz kolejny imponowali zespołową grą oraz skutecznością rzutów za 3 punkty. W genialnej wręcz formie znajduje się obecnie Szymon Tomczak, jego pewność w grze oraz spokój z jakim słupski podkoszowy zdobywa kolejne punkty nie przechodzi obojętnie i po raz kolejny został on wybrany do najlepszej piątki minionej kolejki. Słupscy fani

na pewno liczą, że ich koszykarze po raz trzeci w tym sezonie wygrają domowy mecz i utrzymają status hali Gryfia jako niezdobytej przez rywali twierdzy.

Ekipa Miasta Szkła to tegoż roczny beniaminek, który z meczu na mecz wygląda coraz lepiej. Właśnie w ostatniej kolejce krośnianie odnieśli swoje pierwsze zwycięstwo, dość pewnie pokonując wałbrzyskiego Górnika 86 do 70. Liderem punktowym piątkowych przeciwników Czarnych jest Leemet Bockler, który w każdym rozegranym przez siebie spotkaniu zdobywa średnio 15,4 punktu. Bardzo ważną postacią drużyny z Podkarpacia jest też Maurice Watson, który do 15 zdobywanych punktów dokłada 7 rozdanych asyst.

Początek meczu już w piątek (7 listopada) o godzinie 20 15 w słupskiej hali Gryfia. Bezpośrednia transmisja na kanale Polsatu Sport 2.

wsp. Michał Piątkowski

PULS

#189

**Młody Polak
na stałe
w domu**
Str. 4-5



Dzień Niepodległości kojarzy nam się z datą 11 listopada i postacią marszałka Piłsudskiego. Jednak dzieło odzyskania wolności to prawdziwy kalejdoskop postaci, miejsc i zdarzeń

Krzysztof Żelazny

ALFABET NIEPODLEGŁOŚCI, CZYLI ZWYCIĘSTWO OD A DO Z

Akt 5 Listopada

Deklaracja cesarzy Niemiec i Austro-Węgier ogłoszona 5 listopada 1916 r., mówiąca o odbudowaniu Polski na zdobytych terenach. Wcześniej podobna deklarację złożył rosyjski wielki książę Mikołaj, a po propozycji dwóch cesarzy swoją ofertę Polakom przekazały państwa zachodnie. Amerykanie obiecali nam wówczas „zjednoczoną Polskę”.

Asy przestworzy

Bohaterscy piloci w swych kolorowych maszynach, zdobionych godłami i znakami przynoszącymi szczęście. Piloci, obserwatorzy i strzelcy prowadzący zwiad, zrzucający bomby, a przede wszystkim zwycięzcy walk powietrznych ze słynnym Czerwonym Baronem-Manfredem von Richthofenem na czele. Swoich asów przestworzy mieliśmy i my. Na przykład [b]Stefana Steca, który strącał maszyny wroga z nieba, a biało-czerwona szachownica malowana na jego samolocie stała się pierwowzorem znaku rozpoznawczego polskiego lotnictwa wojskowego[b].

Baśka Murmańska

Biała niedźwiedzica, którą przyciągnęli polscy żołnierze z oddziałów sformowanych i walczących w okolicach Murmańska. Umiała chodzić na dwóch łapach i salutować. Po przyjeździe do Polski, defilowała wraz ze swoim oddziałem przed marszałkiem Józefem Piłsudskim. Niestety, podczas spaceru wyrwała się swojemu opiekunowi i padła ofiarą wideł chłopów z okolic Modlina. Jej wypchana postać została Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Bolszewicy

Władcy Rosji od 7 listopada 1917 r. aż do upadku Związku Radzieckiego. Choć ich ówczesny przywódca Włodzimierz Lenin opowiadał się w teorii za wolną Polską, to w praktyce miał zamiar wraz z Armią Czerwoną nas podbić i ustanowić tu rząd komunistyczny. Próba ta zakończyła się niepowodzeniem w 1920 r. pod Warszawą, Lwowem i nad Niemnem. Kojarzeni z brutalną i prymitywną formą wojny: rabunkami, gwałtami, mordowaniem jeńców i dobijaniem rannych.

Cud nad Wisłą

Bitwa warszawska stoczona w połowie sierpnia 1920 r., zakończona wielkim zwycięstwem Polaków nad bolszewikami. Nie był to jednak cud - to nie Najświętsza Maria Panna rozprężyła wroga hufce, ale polscy żołnierze. Pomogło zła-

manie bolszewickich szyfrów, przerwanie ich łączności radiowej, a także uderzenie na tyły wojsk szykujących się do ataku na Warszawę i twarda obrona na przedpolach stolicy. Całość firmował marszałek Józef Piłsudski, a plany operacyjne rozpisывał szef sztabu generalnego gen. Tadeusz Jordan-Rozwadowski. Armiami polskimi dowodzili m.in. Józef Haller, Władysław Sikorski, Edward Rydz-Śmigły, Zygmunt Zieliński.

Czesi

Nasi południowi sąsiedzi. 31 października 1918 r. pomogli por. Antoniemu Stawarzowi i polskim konspiratorom wyzwolić Kraków z rąk austriackich. Niestety, w styczniu 1919 r. zajęli nam Zaolzie z Czeskim Cieszyńcem (gdzie dominowała ludność polska, a czeska była mniejszością), jak również

część Orawy i Spiszu. Potem w czasie wojny z bolszewikami zgodzili się przepuszczać transporty wojskowe za zrzeczenie się spornych terenów. My się rzekliśmy, a oni żadnych transportów nie przepuścili.

Dezerterzy

Pod koniec I wojny światowej stanowili poważny problem. Szczęśliwie, większość - podobnie jak w filmie „C. K. Dezerterzy” - próbowała dostać się do swoich domów rozsianych po byłych monarchiach, a nie zawsze mogli tak po prostu wyjść sobie z koszar czy okopów i kupić bilet kolejowy.

Dmowski Roman

Polski polityk, zagorzały przeciwnik Józefa Piłsudskiego i Niemców, bardzo ważny uczestnik polskiej delegacji na konferencję pokojową w Wersalu, gdzie z pasją prze-

mawiał, tłumacząc potem siebie na angielski i francuski. Dzięki niemu i premierowi Ignacemu Paderewskiemu alianci rozciągnęli polskie granice na Wielkopolskę i Pomorze Gdańskie oraz nakazali przeprowadzenie plebiscytów narodowościowych na Warmii, Mazurach i Górnym Śląsku.

Ententa

Alianccy zwycięzcy I wojny światowej. W 1914 r. składała się z Francji, Wielkiej Brytanii wraz z terytoriami zamorskimi oraz Rosji. W 1918 r. Rosji w Entencie już nie było, ale za to pojawiły się Stany Zjednoczone, Belgia, Włochy, Japonia, Rumunia, Grecja, Serbia, Portugalia, Brazylia. Część z państw Ententy było odrodzonej Polsce przyjaznych, choć głównie dlatego, by osłabić Niemcy.

Entuzjazm

Stan, który ogarnął ludność polską w trakcie wyzwalań. Podsycały go wywieszane flagi narodowe, zrzucone i rozbijane godła państw zaborczych oraz polskie orły i mundury na ulicach.

Flaga narodowa

Powstała na bazie naszego godła, gdzie biel pochodzi od białego orła, a czerwień od koloru tła. Ustanowiono ją oficjalnie w 1919 r. i obowiązuje do dzisiaj.

Forty

Umocnienia łączące się w twierdze, które czasem budowano całymi latami. Na ziemiach polskich w ręce przeciwników wpadły m.in. twierdze w Przemyślu oraz rosyjskie Osowiec, Dęblin i Modlin. Za to niezwykłą pozostaje Kraków, u bram, którego dwukrotnie rozbito Rosjan w listopadzie i grudniu 1914 r. W 1918 r. większość krakowskich fortów zostało obrabowanych przez rzucające służbę żołęgi lub okoliczną ludność.

Galicja

Ale nie ta. Jak Polacy mogą domagać się całej Galicji? - dziwił się brytyjski premier David Lloyd George. Przecież Galicja to La Coruña, Santiago de Compostela i Vigo. I gdzie tam są Polacy?

Granice Rzeczypospolitej

Ich tworzenie trwało kilka lat. Bez problemów Polska odzyskała zachodnią część Galicji z Krakowem i okupowane tereny byłego Królestwa Polskiego z Warszawą i Lublinem. Pomorze, choć bez Gdańska, otrzymaliśmy od aliantów, ale o resztę trzeba było walczyć zbrojnie lub w plebiscytach. Plebiscyty poszły nam dość słabo, za to lepiej udały się powstania przeciwko Niemcom na Śląsku i w Wielkopolsce. Galicję Wschodnią i Lwów zdobyliśmy w boju, część Litwy

z Wilnem - w wyniku sprytnego „buntu” polskich żołnierzy pochodzących stamtąd, a granicę wschodnią wywalczyliśmy w wojnie o wszystko z bolszewikami. Straciliśmy za to tereny na rzecz Czechosłowacji.

Hajdamacy

Tak nazywano Ukraińców w czasie walk o Galicję. Historyczny hajdamak był Kozakiem trudniącym się grabieżą, można go było łatwo rozpoznać po wygolonej głowie ze zwisającym kosmykiem włosów oraz spisie (długiej dzidzie) i samopale w rękach.

Hiszpanka

Grypa, która w latach 1918-1919 zabiła [b]50 mln ludzi na świecie[b] - więcej niż 4-letnie działania wojenne. Pod koniec 1918 r. pojawiła się także w Polsce - we Lwowie, potem w Krakowie i w Warszawie. Szczęśliwie, akurat to nieszczęście obeszło się z Polską bardzo łaskawie i ofiar nie było dużo. Tak naprawdę na cały świat rozprzestrzeniła się z USA, a o mylącą nazwę długo mieli pretensje Hiszpanie.

Inflacja

Pamiętka po wojnach, konieczności zakupów wojennych i niedoborach licznych towarów. Szybko przerodziła się w hiperinflację, a skutecznie zakończyła ją reforma waluty z 1924 r. i wprowadzenie polskiego złotego.

Jeszcze Polska nie zginęła

„Mazurek Dąbrowskiego” albo „Pieśń Legionów Polskich we Włoszech” według słów Józefa Wybickiego. Oficjalny hymn polski od 1927 r., choć zastanawiano się również nad „Bogurodzicą”, „Boże, coś Polskę” i „Rotą”.

Jordan-Rozwadowski Tadeusz

Polski generał wywodzący się z C. K. armii, gdzie zdobył wiedzę wojenną, uznanie i liczne order. Dyplomata, uczestnik walk I wojny światowej, innowator użycia artylerii, szef Sztabu Generalnego podczas wojny 1920 r., współtwórca zwycięstwa polskiego pod Warszawą. Prawdopodobnie otruty z przyczyn politycznych po zamachu majowym.

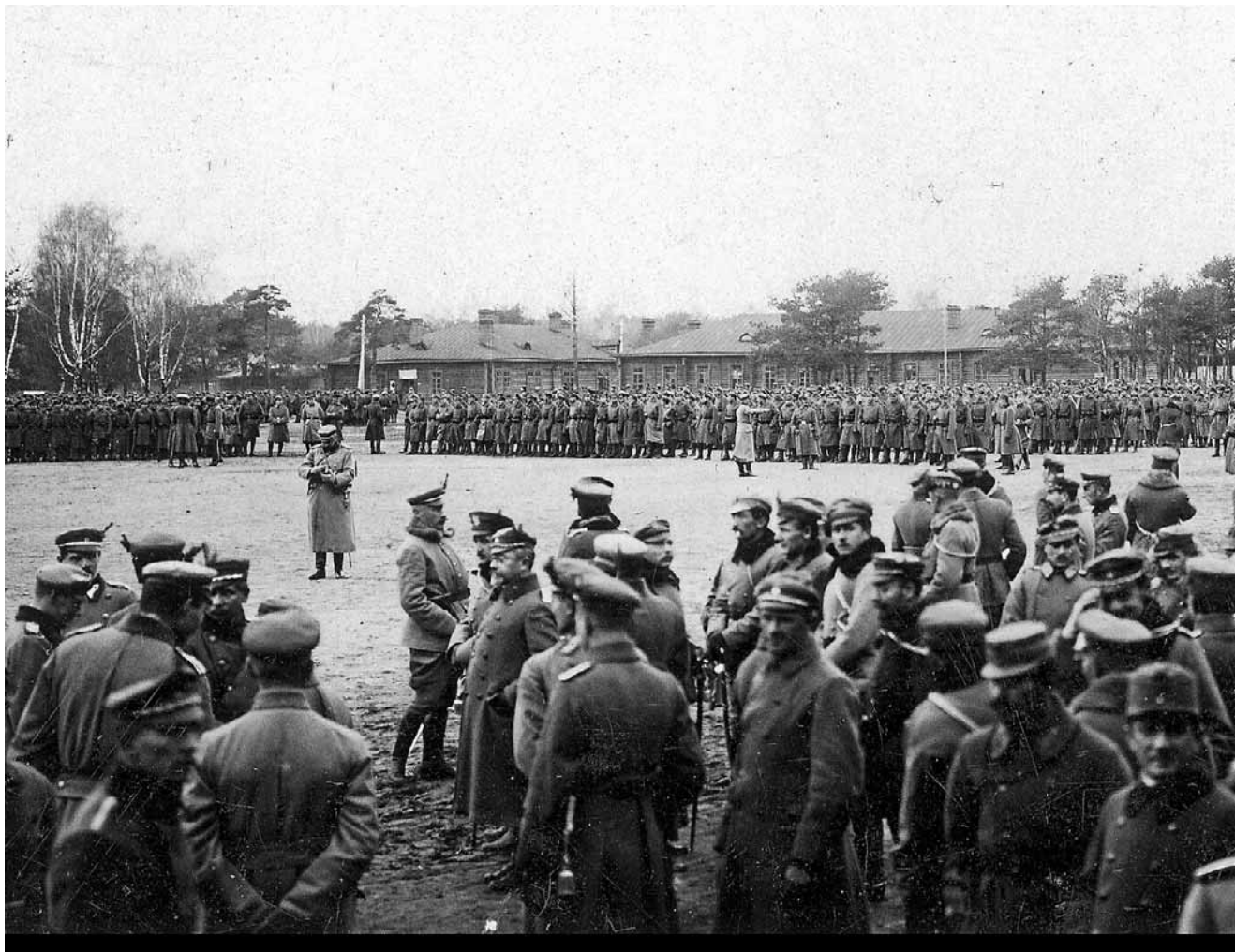
Kościuszkowska eskadra

Amerykańskie podziękowanie za Tadeusza Kościuszkę. 7. Eskadra Myśliwska im. Tadeusza Kościuszki składała się z 21 lotników - ochotników ze Stanów Zjednoczonych oraz kilku lotników polskich. Jej załogi sformowano w Krakowie, lotnicy latali na proaustriackich samolotach myśliwskich Albatros D. III (Oef) i zajmowali się głównie lotami rozpoznawczymi i szturmowymi, w któ-



Józef Piłsudski rozmawia z adiutantem ppłk. Bogusławem Miedzińskim (pierwszy z prawej), gen. Tadeuszem Rozwadowskim (drugi z prawej) i gen. Edwardem Śmigłym-Rydzem (trzeci z prawej). Rok 1922

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Żołnierze Legionów Polskich na apelu. W I wojnie światowej z Rosjanami walczyły trzy brygady legionistów

rych dali się mocno we znaki żołnierzom bolszewickiej Armii Konnej Budionnego. Godła eskadry używał później m.in. Dywizjon 303 w czasie bitwy o Anglię.

Legiony Polskie

Trzy brygady walczące przeciwko Rosji carskiej. Najbardziej znana jest I Brygada, która długo dowodził Józef Piłsudski, ale w dziele odzyskiwania niepodległości zasłużyły się także II i III Brygady. Ich żołnierzami byli najczęściej ochotnicy z Galicji i Królestwa Polskiego, którzy zgodnie ze słowami „My, Pierwsza Brygada” na stos rzucili swój życia los.

Lublin

Siedziba Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej (albo w skrócie: rządu lubelskiego). Rząd trwał krótko, niecałe dwa tygodnie, jego premierem był Ignacy Daszyński i skupiał przedstawicieli partii lewicowych, choć niekomunistycznych. Wydał m.in. dekret o 8-godzinnym dniu pracy, podporządkował się władzom w Warszawie.

Łatgalia

Dawne Inflanty Polskie, obecna część Łotwy. W styczniu 1920 r. rejon wspólnych walk polsko-łotewskich z bolszewikami m.in. o Dyneburg (obecnie: Daugavpils) - stolicę Łatgalii. Mimo przeraźliwego zimy (temperatury dochodziły do 25 stopni poniżej zera), sprzymierzone wojska wyparły Rosjan i przyczyniły się

do stworzenia jednej z nielicznych granic przyjaźni II RP - z Łotwą.

Łut szczęścia

Rzecz niezwykle ważna, zwłaszcza dla żołnierzy frontowych w czasie walk. Wielu tego przysłowiowego łutu szczęścia brakło - w latach 1914-1918 w mundurach państw zaborczych poległo 400 tys. polskich żołnierzy, a kolejnych 100 tys. - już w polskich - w latach 1918-1921.

Mannlicher, Mauser, Mosin

Wynalazki wojenne Austriaka Ferdinanda Mannlichera, Niemca Paula Mausera i Rosjanina Siergieja Mosina, czyli trzy karabiny używane przez armie zaborcze. Wszystkie miały podobny kaliber (odpowiednio: 8, 7,92 i 7,62 mm), do środka można było załadować po pięć pocisków. Wszystkie używali Polacy.

Morze Bałtyckie

Obiekt najważniejszych zaślubin polskich 1. poł. XX wieku. W imieniu II Rzeczypospolitej platynowy pierścien wrzucił do Bałtyku gen. Józef Haller, drugi umieszczając sobie na palcu. W wyniku traktatu wersalskiego Polska otrzymała 140 km wybrzeża. Mało, ale zrobiliśmy z niego dobry użytek.

Naród przegrodzony granicami

Poza granicami II Rzeczypospolitej pozostało sporo Po-

laków, zamieszkujących państwa sąsiednie - w Niemczech na Śląsku, Pomorzu, Warmii i Mazurach, a także na Litwie, Łotwie, w Czechosłowacji i ZSRR. W samej II RP Polacy byli większością, ale prawie 1/3 społeczeństwa tworzyli mniejszości narodowe w tym: Ukraińcy, Żydzi, Białorusini i Niemcy.

Ni z tego, ni z owego mamy Polskę na pierwszego

Powiedzenie przypisywane Józefowi Piłsudskiemu, który tak skomentował nagły rozpad państw zaborczych i szybkie przejęcie władzy przez Polaków.

Orleń Lwowski

Młodzi ochotnicy, którzy w łącznej liczbie prawie 1400 walczyli o polski Lwów. Byli wśród nich studenci, ale także uczniowie szkół średnich i powszechnych, najmłodszy miał 9 lat. Poległo 120 uczniów i 76 studentów, Lwów został obrońcy, a Orleń przez cały okres II RP byli symbolem poświęcenia i umiłowania ojczyzny.

Orzeł Biały na czerwonym tle

A dokładniej zgodnie z heraldyką: „w polu czerwonym srebrny orzeł w złotej koronie”. Godło państwowe od 1919 r., zmienione i unowocześnione w 1927 r. Przy okazji, orzeł stracił wówczas krzyż z korony, a na skrzydłach dodano mu rosety. Obecny wzór jest bardzo podobny do tego z 1927 r.

Polska Organizacja Wojskowa

Tajna organizacja wojskowa powstała z inicjatywy Józefa Piłsudskiego w sierpniu 1914 r. Miała służyć do działań wywiadowczych i dywersyjnych, szkolić młodzież i zasilac Legiony. Jej wyszkolone wojskowo kadry ujawniły się w czasie przejmowania władzy od zaborców i stały się podstawą budowy Wojska Polskiego, co miało olbrzymie znaczenie w czasie walk o niepodległość i granice.

Powstania

Początki II RP to najbardziej udany okres dla polskich powstań. Udało się prawie w całości wygrać powstanie wielkopolskie 1918-1919. W mniejszej skali osiągnięto sukces w trzech powstaniach śląskich (1919, 1920 i 1921), ale i tak udało się uzyskać korzystniejsze granice niż przyznawali nam alianci.

Rakowice

Dawna wieś pod Krakowem, teraz integralna część miasta. Miejsce, gdzie 31 października 1918 r. Polacy przejęli z rąk austriackich lotnisko. Dowodzący kpt. Roman Florer wraz z paroma polskimi podwładnymi nie tylko zabezpieczył dla Niepodległej całość sprzętu, budynków i maszyn, ale i szybko zorganizował pierwszą szkołę dla przyszłych lotników, prowadził naprawę maszyn, formował tam kolejne oddziały bojowe i techniczne, które wysyłano na front. Lotnisko w Krakowie-Rakowicach

nazywane jest „kolebką polskiego lotnictwa”.

Ryga

Stolica Łotwy, miejsce podpisania w marcu 1921 r. pokoju kończącego wojnę z bolszewikami. Wytyczono polską granicę wschodnią, a także uzyskano zwrot polskich zabytków, m.in. arrasów wawelskich i Szczerbca. Jednak wynegocjowane przez Polaków 30 mln rubli w złocie, jako zwrot kosztów polskich w budowie gospodarki carskiej, nigdy nie zostało przez Rosjan zapłacone.

Sto dwadzieścia trzy lata

Dokładnie tyle lat trwał brak Polski na mapach Europy i świata z powodu zaborów.

Tank albo czołg

Broń ofensywna, która narodziła się w czasie I wojny światowej. Dzięki naszym francuskim sojusznikom armia polska przez pewien czas była jedną ze światowych potęg pancernych, a pozyskane z Renault FT-17 dawały własnie model czołgu - choć mały i dwuosobowy - wyznaczył kierunek rozwoju broni pancernej. Zastosowana w nim ruchoma wieżyczka z działem jest teraz standardem.

Turcja

Jedyny kraj na świecie, który nigdy nie uznał polskich zaborów. Legenda mówi, że w czasie zaborów, przy prezentacji dyplomatów na dworze sułtańskim mówiono „poseł Lechistanu jeszcze nie przybył”. Gdy poseł wreszcie przybył, Turcy akurat zlikwidowali sułtanat i wprowadzili republikę.

Ułani

A także szwoleżerowie i strzelcy konni to żołnierze, konie, lance z proporczykami, szable i ostrogi. Mieli także karabiny i artylerię konną, do walki stawali pieszo, a koń był głównie środkiem transportu, choć czasem służył do szarż. Odnaczyli się w wojnach, zwłaszcza na wschodzie, gdy w lipcu 1919 r. pokonali Ukraińców pod Jazłowcem, a w sierpniu 1920 r. pod Komarowem Armii Konną Siemiona Budionnego w ostatniej wielkiej bitwie europejskiej kawalerii. Uzbrojenie - brano każde, jakie zdobyto na wrogach lub otrzymano od sojuszników. Ta różnorodność powodowała anegdoty, jak te o byłym oficerze armii austro-węgierskiej, który musiał zająć do regulaminu francuskiego, aby powiedzieć byłemu piechurowi rosyjskiemu, jak załadować byłą brytyjską amunicję były niemiecki karabin.

Versailles, czyli po polsku Wersal

Miejscowość pod Paryżem, dawna rezydencja królewska,

gdzie obradowali przedstawiciele państw zwycięskich, z udziałem delegacji polskiej, i radzili, jak ustanowić bezpieczny świat po wojnie. Odbywało się to głównie kosztem pokonanych Niemiec, którym zabierano terytoria, broń, ograniczono armię i narzucono potężne reparacje wojenne.

Virtuti Militari

Z łaciny „Męstwu Wojskowemu”, odznaczenie z czasów I RP, przywrócone w II RP. Krzyż Wojenny Orderu Wojennego dzieli się na 5 klas i jest najważniejszym polskim odznaczeniem wojennym. W 1920 r. wprowadzono Krzyż Walecznych, aby nagradzać odwagę żołnierzy, ale Virtuti Militari zostawiać na szczególne okazje.

Wiedźma

„Macocho Austria-Wiedźma (...) zmarła po ciężkich kurczach na uwiąd starczy, przeklęta przez wszystkich, którzy mieli nieszczęście z nią się zetknąć. (...) Niech odpoczywa w wiecznym spokoju i niechaj nigdy nie doczeka się zmartwychwstania. Polacy, Czecho-Słowacy, Jugosłowianie”. Takiej treści ironiczne klepsydry pojawiły się przed kościołami tuż po wywoleniu miasta.

Wilson Thomas Wodorów

Prezydent Stanów Zjednoczonych, którego 14 punktów - celów USA w I wojnie światowej - ogłoszonych w styczniu 1918 r. stało się podstawą traktatu wersalskiego. Dla nas najważniejszy był punkt 13., mówiący o stworzeniu niepodległego państwa polskiego z dostępem do morza. Po wojnie organizował pomoc żywnościową dla Polski, a obecnie zdobi niebiedące w obiegu banknoty o nominale 100.000 dolarów.

Z jak zwycięstwo

Gdy zakończyła się I wojna światowa i wojna o granice Rzeczypospolitej, Polska była wolna, lecz potwornie zniszczona. Przez kraj parę razy przetoczył się front, niektóre miasta, jak Gorlice czy Kalisz, leżały w gruzach, wycofujący się Rosjanie ewakuowali całe fabryki i zostawiali za sobą spaloną ziemię, a następujący Niemcy prowadzili gospodarkę rabunkową. Oprócz wielkich strat ludzkich, Polakom ubyło prawie milion sztuk koni i 2 mln sztuk bydła, więc groźba głodu była całkiem realna. Dodatkowo, początek niepodległego bytu to 6 różnych walut w obiegu, 4 języki komend w wojsku, 3 kodeksy prawne, 2 rodzaje torów kolejowych i - w zależności od byłych zaborów - obowiązujący lewo- lub prawostronny ruch drogowy.

Dwie piąte młodych ludzi wciąż mieszka ze swoimi rodzicami. Nawet jeśli już pracują, nie stać ich na własne mieszkanie albo zarabiają zbyt mało, żeby się utrzymać. Są sami, bo ponad 40 proc. osób w wieku 20-39 lat nie ma stałego partnera czy partnerki, a po co wyprowadzać się z rodzinnego domu, skoro nie ma z kim dzielić swoich czterech kątów?

Poza wszystkim: młodym dobrze u mamy

Dorota Kowalska

MŁODZI DOROŚLI, CZYLI NIE MA JAK U MAMY...

Kacper, 29 lat, czarne, króciutkie włosy, ciemne oczy, korpulentny. Wrocławianin z dziada pradziada. Skończył technikum elektroniczne, potem trzy lata studiował pedagogikę. Pracuje, całkiem nieźle zarabia. Mieszka w trzypokojowym mieszkaniu z młodszym bratem Antkiem i rodzicami. Ci właśnie zrezygnowali z sypialni i przerebili ją na pokój dla Antka, żeby bracia nie musieli już spać na piętrowym łóżku.

- Nie myślę o wyprowadzce - przyznaje Kacper. - Sam też włożyłem trochę pieniędzy w remont mojego pokoju, po tym, jak Antek mnie opuścił - wybucha śmiechem. I dodaje, że to był dla niego wielki dzień, bo dzielenie z kimś piętnastu metrów kwadratowych do łatwych nie należy. Swoją pokój odmalował, kupił w Ikea nową szafę, biurko i porządne łóżko.

- Niby po co miałbym się wyprowadzać? Poza tym nie stać mnie na to. Kredyt czy wynajem, to dwa tysiące złotych mniej w portfelu, co najmniej. Do tego dochodzą opłaty, wyżywienie, jakieś ciuchy. Niewiele by mi z pensji zostało - tłumaczy.

- Dwa tysiące na rozrywki to mało? - dopytuje.

- Mało. Przecież musiałbym coś jeszcze odłożyć na wyjazdy, czy wakacje - tak odpowiada.

I dodaje, że nie ma dziewczyny, więc nie ma ciśnienia na intymność, jak to określa. Rodzice są w porządku, nie suszą mu głowy, kiedy wraca późno, w końcu jest dorosły. Zresztą, nie szaleje. Po pracy najczęściej gra na komputerze, obejrzy jakiś serial na Netflixie, dwa razy w tygodniu chodzi na siłownię, w weekendy spotyka się z kolegami, czasami wychodzi na większą imprezę.

- Daję mamie 500 złotych na życie, tyle chciała - mówi. Brudne ciuchy wrzuca do wspólnej pralki, obiad ma ugotowany, opłatami się nie martwi. Na miesiąc jada od czasu do czasu, naj-

częściej, kiedy wychodzi z kumplami. Ci też mieszkają u rodziców. Tylko Kuba wziął kredyt i kupił kawalerkę w starej kamienicy. Właśnie ją remontuje.

- Nie wiem, po co mu to było. Będzie ten kredyt spłacał do końca życia - Kacper wzrusza ramionami.

Na razie nie myśli o przyszłości, o tym, kiedy się wyprowadzi od rodziców. Przyjdzie na to czas, pozna kogoś, wtedy będzie myślał. Czasami, jak mówi, życie samo pisze scenariusze.

Zbyt droga dorosłość

Typowy młody człowiek przed trzydziestką, chciałoby się powiedzieć. Z najnowszego badania CBOS wynika, że od 2005 roku z 29 proc. do 39 proc. wzrosła liczba młodych Polaków stanu wolnego mieszkających z rodzicami lub opiekunami. To prawie dwie piąte!

„Niezależnie od grupy wiekowej to mężczyźni nieco częściej niż kobiety pozostają w domu rodzinnym. Zauważyć jednak można, że wraz z wiekiem odsetek mężczyzn gniazdowników spada, a kobiet - wzrasta” - podkreślili autorzy badania.

„Gniazdownicy”, jak tłumaczy CBOS, to osoby w przedziale wiekowym 25-34 lata, które mieszkają z rodzicami, nie mają współmałżonka i same nie są rodzicami. Zgodnie z przyjętą definicją do gniazdowników nie zalicza się osób rozwiedzionych i wdowców.

Badanie wykazało, że 59 proc. gniazdowników to osoby w przedziale wiekowym 25-29 lat. „Można przypuszczać więc, że gniazdownicy to częściej osoby, które stosunkowo niedawno skończyły studia i nie mają jeszcze stabilnych dochodów, co wiąże się z koniecznością korzystania ze wsparcia rodziców” - oceniło CBOS.

Autorzy badania zauważają, że osoby pracujące nie zawsze zarabiają tyle, by móc samodzielnie się utrzymać. Może dlatego 13 proc. pytanym częściowo lub w pełni korzysta z materialnej

pomocy rodziców. Zdecydowana większość pracujących (87 proc.) ma jednak zarobki pozwalające na całkowitą niezależność finansową, a mimo to nadal mieszka z rodzicami.

Dwie trzecie niepracujących (66 proc.) częściowo korzysta ze wsparcia finansowego rodziców.

Największy odsetek badanych zadeklarował, że nie planuje wyprowadzać się od rodziców albo że zrobi to w bliżej nieokreślonej przyszłości (po 32 proc.). 18 proc. ankietowanych planuje opuszczenie rodzinnego domu w nadchodzącym roku, a 15 proc. w ciągu dwóch, trzech lat.

Dlaczego właściwie gniazdownicy zostają w rodzinnych domach?

„Najliczniejsza grupa wymienia jako powody czynniki ekonomiczne, a więc brak mieszkania (51 proc.), niższe koszty utrzymania (42 proc.), brak wystarczających dochodów (39 proc.) oraz brak pracy (4 proc.)” - czytamy w raporcie. Niektórzy wciąż studiują, chodzą na uczelnię, zdają egzaminy, nie mają więc szans na samodzielność, taki właśnie powód mieszkania u rodziców wskazał co dziesiąty gniazdownik (11 proc.).

Niemal połowa odkłada start w samodzielne życie z powodu dobrych warunków mieszkaniowych w domu rodziców (48 proc.), a co piąta - z powodu wsparcia w codziennych obowiązkach z ich strony (21 proc.). Jedna trzecia pytanym (32 proc.) uzasadnia swoje pozostawanie w rodzinnym gnieździe brakiem własnej rodziny, 21 proc. nie opuszcza domu ze względu na przywiązanie emocjonalne

do rodziców, a 14 proc. ze względu na to, że wymagają oni pomocy.

Najrzadziej wymienianym powodem jest sprzeciw rodziców wobec wyprowadzki dziecka (1 proc.).

Grunty do samodzielności

Julia, 28 lat: wysoka, szczupłutka, wygadana. Wyprowadziła się od rodziców na drugim roku studiów. Pomimo że mieszkają w tym samym mieście - Poznaniu - i również tam studiowała, pomyślała, że to był dobry czas na zmiany.

- Dzięki temu, że zacząłem pracować prawie na cały etat, byłem w stanie wynająć pokój. Choć łączenie dziennych studiów i pracy w takim wymiarze wydawało się ciężkie, paradoksalnie, było to możliwe dzięki pandemii i przeniesieniu nauki do Internetu, studiowałam tak naprawdę online - opowiada. - Nie wyobrażam sobie, żeby w wieku dwudziestu paru lat cały czas mieszkać z rodzicami - dodaje szybko.

Jej zdaniem czas studiów to odpowiedni czas na stawianie pierwszych kroków w „dorosłym” życiu, uczeniu się odpowiedzialności.

- Moi rodzice są w porządku, tolerancyjni, ale mimo wszystko potrzebowałam więcej prywatności, intymności. Mieszkając w bloku, miałam oczywiście u rodziców swój pokój, ale nie czułabym się dobrze, gdyby znajomi siedzieli u mnie do północy, wychodzili do ubikacji czy kuchni - tłumaczy.

„Na swoim” musiała radzić sobie sama: prać, sprzątać, gotować i trzymać rękę na kieszeni.

**WIĘKSZOŚĆ PRACUJĄCYCH
(87 PROC.) MA ZAROBKI
POZWALAJĄCE NA NIEZALEŻNOŚĆ
FINANSOWĄ, A MIMO TO NADAL
MIESZKA Z RODZICAMI**

Co ciekawe, nawet znajomi, którzy posiadają własne mieszkania i są w związkach, nie zdecydowali się jeszcze na ich sformalizowanie. Nie czują takiej potrzeby. Nie są gotowe emocjonalnie, finansowo, by zakładać rodzinę. Inna sprawa, że ślub i wesela to spory wydatek.

- Nie mówiąc o dziecku. Niestety, dziecko to dobro luksusowe, na które młodzi dorośli nie są w stanie sobie pozwolić. Jednocześnie w dzisiejszych czasach kobiety nie odczuwają przymusu, by zakładać rodzinę i rodzić dzieci. Mogą to zrobić, gdy poczną się gotowe - tłumaczy Julia. I dodaje, że można żyć, mieszkać ze swoim partnerem bądź partnerką przez wiele lat bez ślubu i bez dzieci.

Inne priorytety

Priorytety młodych ludzi mocno się zmieniły. Badanie przeprowadzone przez prof. Dominikę Maison z Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego wykazało, że w młodszych pokoleniach wyraźnie maleje znaczenie rodziny i rodzicielstwa. O ile jeszcze w pokoleniu tzw. baby boomers, czyli osób urodzonych przed 1965 roku, około 70 proc. respondentów wskazało rodzinę jako jeden z życiowych priorytetów, to w generacji Z (urodzeni w latach 1995-2012) było to tylko 45 proc. Młodzi - jak wynika z badania - częściej stawiają na cele materialne - 35 proc. chce mieć dużo pieniędzy, a 30 proc. zakłada osiągnięcie sukcesu zawodowego.

Także badanie „Zdrowie emocjonalne osób z pokolenia Z i milenialsów, co porusza młode Europejki i młodych Europejczyków”, przeprowadzone w czerwcu 2023 roku przez firmę Merck wśród osób w wieku 19-25 i 26-36 lat z 12 europejskich krajów, w tym z Polski, pokazuje, że pokolenie Z i milenialsi stawiają dziś na relacje osobiste, zdrowie emocjonalne i fizyczne.

Młodzi cenią sobie kontakty z drugim człowiekiem. Te rzeczywiste, a nie wirtualne, tworzone w mediach społecznościowych. W trosce o dobrą kondycję fizyczną dbają o odpowiednią ilość snu i odpoczynku (79,2 proc.), regularnie ćwiczą (76,5 proc.), wdrażają zdrowe nawyki żywieniowe i odpowiednią dietę (66,1 proc.).

Rodzina, dzieci - nie są dla nich priorytetem. Młodzi mają plan na swoje zawodowe kariery, bo praca jest dla nich ważna. Oczekują w niej dobrej atmosfery (90 proc. badanych), możliwości zachowania równowagi między życiem prywatnym i zawodowym (86 proc.), zaufania, wsparcia i nowych wyzwań (85 proc.), możliwości awansu i dalszego rozwoju (82 proc.).

Kolejni naukowcy tylko potwierdzają te obserwacje, bo także z badań przeprowadzonych przez IRCentrum oraz Katarzynę Krzywicką-Zdunek i Dorotę Peretiatkowicz, twórczynię



Z badania CBOS wynika, że młodzi zostają z rodzicami głównie z powodów ekonomicznych, ale zdaniem socjologów i demografów powód jest jeszcze jeden. W Polsce mamy dzisiaj około ośmiu milionów singli

platformy instagramowej socjolożki.pl. wynika, że trzech na czterech młodych dorosłych w wieku od 16. do 35. roku życia wśród najważniejszych wartości w życiu wymienia zdrowie psychiczne, poczucie bezpieczeństwa, akceptację partnera lub partnerki oraz wolność.

Wyprowadzać się czy nie?

Tymczasem wyprowadzka z domu to poważna decyzja i wiadać to także w sieci.

Intewrernauta1: „Moja sytuacja wygląda następująco. Mieszkam w Warszawie z dwiema starszymi siostrami i rodzicami. Od dłuższego czasu zastanawiam się nad wyprowadzką. Obecnie pracuję w jednej firmie od roku, na umowę-zlecenie. W domu z rodzicami mam średni kontakt, szczególnie z ojcem, który ma dość autorytarne podejście. Tzn. wszystko powinno być po jego myśli. Do 18. roku życia musiałem jeździć z rodzicami wszędzie. Nie miałem wyboru. Rodzice nigdy nie jeździli na wakacje. Zawsze jeździliśmy do babci na wieś. Dosłownie kilka razy nad morze i to tylko dlatego, że moja mama ma tam siostrę, u której mogliśmy zamieszkać. W obecnym mieszkaniu mam swój pokój. W łódzce jest zawsze podstawowe jedzenie, nie muszę dokładać do rachunków. Z drugiej

strony, o ile w tygodniu wracam z pracy, rodzice się mnie czepiają o małe rzeczy typu: porządek w pokoju (są strasznie pedantami), ojciec się czepia nawet, jak talerze się suszą na suszarce do naczyń przy zlewie, bo według niego powinno się je od razu wycierać i chować do szafki. Lubię sobie przynajmniej raz w tygodniu zrobić coś niezdrowego np. pizzę w piekarniku i ojciec mnie straszy, że mi odłączy ten piekarnik, bo za duże rachunki przeze mnie przychodzą. Muszę się z tym kryć jak gówniarz. Są to drobne rzeczy: np. pralka nie może być włączona po 22.00, nie mogę pojechać na rowerze na ścianie w pokoju, bo takich rzeczy na ścianie się nie wiesza. W praktycznie każdy weekend słyszę pytanie, czy jadę na wieś, jak mówię, że nie – to mają pretensje, że się odłączam do rodziny. Powiem szczerze, że zrobiłem się na tyle dziki, że w przypadku, gdy zostaję sam na weekend w sobotę i niedzielę siedzę w domu, oglądając filmy, mecze i tą samotnością się po prostu napawam. Czasami myślę, że potrzebuję odpocząć, oderwać się. Ostatnio rozmawiałem z nimi o wyprowadzce, byli strasznie zaskoczeni i stwierdzili, że skoro mam za dużo pieniędzy i mi źle z nimi, to mogę się wyprowadzić. Ojciec zapytał tylko, kiedy ma mnie wymeldować jak taki mądry je-

stem i żebym nie liczył na żadną pomoc jak się zdecyduje. Wyprowadzić się według nich powinienem dopiero wtedy, jak skończę szkołę i znajdę żonę. Tylko sytuacja wygląda tak, że ja nawet dziewczyny nie miałem do tej pory i czuję się strasznie ograniczony. Powiem szczerze, że na co dzień są to duperele, które wyolbrzymiam i w mojej rodzinie nikt się nie wyprowadzał, jeżeli nie musiał np. na studia czy do pracy, więc to jest trochę dzwon dla rodziców i pewnego rodzaju pionierstwo z mojej strony. Miał ktoś podobną sytuację, warto się wyprowadzić? Na początek myślę, że będzie to pokój, może kiedyś kawalerka gdzieś pod Warszawą. Co daje według Was wyprowadzka? Czy warto podjąć ryzyko?

Intewrernauta2: „Mój syn miał nadopiekuńczą mamę... Po trzecim roku wziął dziewczinę i z kolegami pojechał do Anglii, do roboty. Jak stwierdził po powrocie, dopiero tam zobaczył, jak wygląda samodzielne życie. W ciągu półtora roku poszedł „na swoje”. Początkowo wynajmował. Ja ci radzę: rób jak chcesz, ale ja bym się wyprowadził! Im szybciej, tym lepiej. Z rodzicami nie zrywaj, bo czasem bywają pomocni w potrzebie. Powodzenia”

Intewrernauta3: „W twoim wieku wyprowadzka z rodzin-

ego gniazda to normalna rzecz. Czujesz się stłamszony przez apodyktycznych rodziców, pragniesz niezależności i życiowej swobody, więc usamodzielnienie się jest logiczną decyzją. Jeśli tylko zarobki pozwalają ci na samodzielne utrzymanie, to się wyprowadzaj. Tylko nie pal za sobą mostów, tzn. nie pokłóć się z rodzicami na pożegnanie, nie czyni im wyrzutów, tylko spokojnie zakomunikuj im swoją decyzję i wyjaśnij jej przyczynę, tak jak opisałeś je tutaj. Nigdy nie wiadomo, czy nagle nie stracisz pracy albo nie zaoferują ci roboty. Wróć do rodziny, jeśli będziesz musiał. Myślę, że twój apodyktyczny ojciec w końcu zaakceptuje twoją decyzję i zrozumie, że wychował zdrowego emocjonalnie, samodzielnego syna, a nie minysynka kurczowo trzymanego przez rodziców. W tym co piszesz szczególnie: „W łódzce jest zawsze podstawowe jedzenie, nie muszę dokładać do rachunków”. Nie dobrze, że nie dokładasz się do rachunków. Jesteś dorosłym człowiekiem, pracujesz i zarabiasz, więc w miarę swoich możliwości finansowych powinieneś uczestniczyć we wspólnych wydatkach, a nie żyć na koszt innych. W ten sposób także pokażesz rodzicom, że już nie jesteś nastolatkiem na ich utrzymaniu, tylko zdolnym

do samodzielnego życia młodym mężczyzną”

Intewrernauta4: „Jak masz znaleźć żonę, skoro mieszkasz z rodzicami i to jeszcze takimi, którzy Cię mocno kontrolują? A, już wiem, rodzice Ci znajdą. Nieistotne, czy Tobie się będzie podobała, ważne, żeby pasowała rodzicom. Przelicz dokładnie, czy będziesz w stanie sam się utrzymać, zrób sobie poduszki finansową w wysokości półrocznych wydatków i idź na swoje”.

Epidemia singli

Wprawdzie z badania CBOS wynika, że młodzi zostają z rodzicami głównie z powodów ekonomicznych, ale zdaniem socjologów i demografów, powód jest jeszcze jeden. Mateusz Łakomy, ekspert ds. demografii w programie „To nie takie proste” Grzegorza Sroczyńskiego wypowiedział się na temat dzieciństwa w Polsce. Jego zdaniem wpływ na niską demografię ma między innymi sposób dobierania się w pary oraz wyższe wykształcenie kobiet, które nie chcą się wiązać z mężczyznami o niższym statusie.

- Dzisiaj prawdopodobnie mamy ponad 40 proc. osób w wieku 20-39 lat, czyli w wieku, gdzie rodzi się zdecydowana większość dzieci, które nie są w związku - stwierdził ekspert.

Dokładnie tak. W Polsce mamy dzisiaj około ośmiu mi-

lionów singli. Już w cztery lata temu naukowcy z Politechniki Warszawskiej przewidywali, że do 2030 roku aż 36 proc. populacji w Polsce będą stanowić osoby żyjące w pojedynkę. Według danych część z nich świadomie decyduje się na samotność, postrzegając ją jako komfortową alternatywę wobec budowania relacji. Inni chcą, ale nie potrafią znaleźć odpowiedniego dla siebie partnera. Przyczyn „singlozy” jest wiele, rolę grają i zmiany społeczne i indywidualne postawy. Poza tym małżeństwo, o czym wspomniała Julia, nie jest już postrzegane jako obowiązek, ale jako wybór. Młodzi ludzie żyją w przekonaniu, że trwały związek wcale nie musi zapewnić im szczęścia i spełnienia. Są bardziej skoncentrowani, o czym już wspomnieliśmy, na samorealizacji, karierze zawodowej, rozwoju osobistym, relacji z innymi. Niektórzy mają złe doświadczenia związane z trwałymi związkami nie tylko swoimi, ale też tymi znajomych czy przyjaciół.

Więc wielu singli, jak Kacper, zadaje sobie pytanie: Po co wyprowadzać się z rodzinnego domu, skoro nie ma z kim dzielić swoich czterech kątów?

Anna mieszka z rodzicami w małej miejscowości, właściwie wiosce, pod Lublinem. Jest singielką.

- Ale nawet, gdybym z kimś była, mieszkabym z rodzicami - tak mówi. I tłumaczy, że w jej miejscowości domy są wielorodzinne i z rodzicami zawsze ktoś zostaje. Siostra i brat już się wyprowadzili, wynajmują mieszkania w Lublinie, padło na nią.

- W naszym rodzinnym domu mogą mieszkać dwie rodziny, w ogóle sobie nie przeszkadzając, nie wchodząc sobie w drogę - tłumaczy.

Nie ciągnie ją „na swoje”. Tu ma własny pokój, a pewnie jak kiedyś założyła rodzinę, dostanie całe piętro. Ma z kim pogadać, poradzić się, bliscy są obok. Dokłada się do rodzinnego budżetu, co miesiąc daje mamie tysiąc złotych, nie chce być na czymś garnuszku. I tak, jak mówi, jest do przodu. Nie spłaca kredytów, nie płaci za wynajem, nie opłaca rachunków.

- Nie szukam męża na siłę, to już nie te czasy, że trzeba było wyjść za mąż przed trzydziestką, bo inaczej wszyscy wytykali cię palcami - wybucha śmiechem.

Skończyła studia, ma pracę. Wychodzi ze znajomymi do kina, na imprezy, jeździ na koncerty, spotka kogoś - to dobrze, nie spotka - trudno. Rodzice w niczym jej nie przeszkadzają, nie marudzą, nie zrzędzają, nawet lepiej, że są obok. Czuje się pewnie, bezpiecznie.

- A kiedyś rodzice i tak będą wymagać pomocy, więc tak czy tak ktoś z nas, z rodzeństwa, musiałby być blisko - mówi.

Więc dobrze jest jak jest. Mieszka z rodzicami i to się nie zmienia.

MIEDZY ŚWIĄTYNIĄ A ŚMIETNIKIEM. GRZEGORZ PIĄTEK: ARCHITEKTURA TO EGZAMIN Z CZŁOWIECZEŃSTWA

Ciało jest najuczciwszym egzaminatorem architektury. O tym, jak przestrzeń nas traktuje, jak w Polsce zabudowuje się krajobraz, i gdzie wciąż można znaleźć architekturę, która jest przyjazna człowiekowi i dobrze się w niej żyje – mówi Grzegorz Piątek, autor książki „Świątynia i śmietnik”

Anita Czapryn

Proszę pana, co to jest za książka „Świątynia i śmietnik. Architektura dla życia”? Czy jest to esej, czy manifest, oskarżenie, czy modlitwa? Jak by pan ją sam gatunkowo przyporządkował?

Myszę, że na najbardziej ogólnym poziomie jest to manifest. Przy okazji reportaż, pamiętnik, ale przede wszystkim wykładam, co w architekturze cenię i w jakim kierunku, moim zdaniem, powinna ona iść. I nawet nie tyle chodzi o przyszłość, bo to są kwestie raczej ponadczasowe; chodzi o to, czego powinniśmy od architektury wymagać. Nie poprzestając jednak tylko na wyliczeniu tego, co uważam za pożądane, ani na narzekaniu na to, czego brakuje. Staram się też pokazać, jak tutaj, w polskich warunkach, niektórzy architekci czy inwestorzy udowadniają, że się da.

Pokazuje pan też ciekawych ludzi i ważnych dla tej architektury dla życia.

Tak, znanych i zupełnie nieznanych. Zależało mi na tym, by skupić się na ludziach, o których może słyszeli ci, którzy interesują się architekturą, ale też na takich, o których nie słyszeli. Wydaje mi się, że ważne jest właśnie to mieszanie perspektyw, nie tylko architektów i inwestorów, ale także użytkowników. Chcia-

łem, tam gdzie potrafiłem, pokazać, jak ludzie tej architektury używają, co o niej sądzą. Bo uważam, że to jest najważniejszy, ostateczny i najbardziej bezwzględny test architektury.

Podzielił pan architekturę na świątynie, czyli monumentalne, reprezentacyjne budowle wznoszone ku chwale pracy czy prestiżu i na śmietniki, czyli to, co codzienne, brudne, niechciane, ale niezbędne do życia.

Tak, choć śmietnik to oczywiście przykład ekstremalny. Ale też przecież nie musi być brudny.

I już nie jest, przynajmniej w Warszawie.

W tytule chciałem zderzyć ze sobą ekstremę: świątynię i śmietnik. Ten śmietnik jest dla mnie symbolem tego, co najbardziej codzienne, najbardziej potrzebne do życia.

I najbardziej bliskie ciału?

Tak, bo uważam, że ciało, w każdym aspekcie, jest surowym egzaminatorem architektury. To ciało mówi, czy budynek jest dostępny, wygodny, czy ma przyjemną akustykę, dobre oświetlenie, czy zgadzają się wymiary...

... czy się tam dobrze siedzi, czy się tam dobrze żyje, czy

tam się dobrze pisze? Nawiasem pytając, gdzie pan pisał tę książkę?

Pisałem ją w domu, w bibliotekach, w podróży. To jest książka częściowo reporterska. Po pierwsze, mieszkam trochę w rozkroku między Warszawą a Trójmiastem. Ale też musiałem trochę pojeździć, by spotkać się z moimi bohaterkami i bohaterami. Jednocześnie zdecydowałem się pisać o miejscach, w których często bywałem. Dlatego taki, a nie inny wybór miast i przykładów. Chciałem pisać o miastach, które dobrze znam, żeby to nie była wiedza książkowa czy oparta na jednej wycieczce. W Trójmieście mieszkalem kilka lat, w Warszawie całą resztę życia, z Łodzi pochodził mój partner, z Rybnika mój ojciec, tam też mieszkali moi dziadkowie. Znam te miejsca od lat i to dawało mi pewność, że wiem, o czym piszę. Architektura to coś, co warto doświadczać, obserwować w czasie. Ona się zmienia, sprawdza albo nie. Dlatego ta próba czasu jest ważna.

No właśnie, chciałem bardziej szczegółowo zapytać o wybór opisanych miejsc. Zdjęcia, jakie są w książce, od razu przykuwają uwagę. Co zdecydowało, że to właśnie te lokalizacje pan wybrał?

Przede wszystkim pierwszym kryterium było to, żeby miały funkcje codzienne. Ale wiedziałem, że nie muszę pokazać wszystkich przykładów i szukałem też ciekawych historii. Skupiłem się więc na historiach, które mnie samego poruszyły, i na miastach, do których wracam. To były główne kryteria.

Czy wśród opisanych miejsc są takie szczególne dla pana bliskie, ulubione, takie, w których czuł pan, że świat ma sens, że coś naprawdę jest dobre i piękne?

Na pewno bardzo ważny był dla mnie rozdział o osiedlu, na którym się wychowałem. Pisanie o nim było dla mnie osobiste i poruszające. A przy tym było to pewne odczarowanie tego osiedla. Wiadomo, jaką opinią cieszą się w Polsce blokowiska, zwłaszcza te z wielkiej płyty. Sam też miałem okres, kiedy bardzo chciałem stamtąd uciec. Już na studiach, z ulgą wyprowadziłem się do śródmieścia. A teraz widzę, że to mieszkanie, choć małe i skromne, było świetnie zaprojektowane. Kiedy spojrzałem na jego rzut oczami dorosłego, zrozumiałem, jak dobrze było przemyślane; miało nieszczelne okna i wieczne zepsutą windę, ale miało okna na dwie strony, widną, oddzielną kuchnię,

Głos Dziennik Pomorza
Piątek, 7.11.2025

dużą loggię. Jeśli mówimy o poczuciu szczęścia, to też bardzo szczęśliwy jestem w toaletach, kiedy już je znajduję.

Szokiem była dla mnie informacja, że to z toalety powstała knajpa Tola na Polu Mokotowskim. Nie wiedziałam o tym. A bardzo lubię to miejsce. Teraz mi pani przypomniała, i pomyślałem sobie, że może nazwa „Tola” pochodzi od toalety? (Śmiech) Ale nie, żartuję.

Na Polu Mokotowskim są Bolek, Lolek i Tola; wiadomo, że to nazwy bohaterów Dobranocki dla dzieci w czasach PRL-u, ale rzeczywiście Tola ładnie się w ten kontekst wpisuje.

Wiedziałem, że wiele warszawskich toalet zostało przebudowanych na knajpy, ale gdy zacząłem to badać i sprawdzać, które konkretnie, byłem zszokowany, jak dużo ich było. I jak wiele zostało niestety zmarnowanych; bo chciałoby się mieć i knajpy, i toalety. A w pewnym momencie zostały już prawie same knajpy.

Teraz w Warszawie mamy taką sytuację, że na Woli powstała toaleta za pół miliona złotych. Szokująca kwota; wielu się ekscytuje, w sensie negatywnym, wielu się bulwersuje. Mówią, że władze Warszawy zwariowały, żeby budować tak drogie toalety.

Tak, rozumiem, że to bulwersuje. Ale mnie to akurat nie bulwersuje. Może błędem jest to, że szaleły się często budowane w miejscach, do których z daleka trzeba ciągnąć instalacje i to podraża ogólny koszt. Generalnie jednak uważam, że taki obiekt musi być budowany solidnie, musi być wygodny. To jest coś, co ma służyć przez lata, przez dziesięciolecia. To nie jest przecież toaleta w mieszkaniu, którą robimy sobie za parę tysięcy złotych. To jest coś, co musi być odporne, trwałe, jeśli ma służyć długo i wielu ludziom. Że aż 500 tysięcy złotych? Cóż, potrafię sobie wyobrazić gorzej wydane publiczne pieniądze. W Polsce naprawdę nadrabiamy teraz trzydzieści lat demontażu toalet publicznych i tę infrastrukturę po prostu trzeba budować od nowa.

A kiedy ostatnio miał pan wrażenie, że znalazł się w śmietniku; tym rozumianym metaforycznie? I jak pan sam to pojęcie rozumie?

Metaforycznie śmietnikiem są dla mnie przede wszystkim miejsca, które dezorientują. Uważam, że dobrze zaprojektowana przestrzeń to też taka, która jest dobrze zorganizowana. Na przykład: wchodzi się do budynku, do głównego holu, i nie trzeba długiego namysłu, żeby wiedzieć, dokąd iść. Dramatem pod tym względem są w Polsce dworce kole-

jowe. Przez trzydzieści lat sfera publiczna była bardzo niedoinwestowana, i wiele dworców zamieniło się w centra handlowe, do których sam dworzec jest doklejony jakby przy okazji. Często nawet nie wiadomo, którędy dojechać na perony; tak jest w Krakowie, gdzie trzeba się przedzierać przez Galerię Krakowską, by dotrzeć na Dworzec Główny.

I przechodzić przez chaos i pośpiech, bylejałość i totalne niezrozumienie.

Ale chyba najbardziej bolesnym przykładem jest Poznań Główny. Główny budynek dworca, który służył przez ponad sto lat, został zamknięty. Zbudowano natomiast centrum handlowe z minimalną przestrzenią na poczekalnię i kasy. To jest koszmar. Każdy pani w Poznaniu potwierdzi, że ten dworzec to po prostu śmietnik.

Zastanawiam się, czy w książce bardziej chodziło panu o pokazaniu świata, który się zepsuł, czy napisanie o człowieku, który próbuje coś ocalić?

Mimo że w tej książce jest sporo krytycznych uwag, to chciałem, żeby znalazło się w niej też miejsce dla tych, którzy potrafią zrobić coś dobrze. Chciałem pokazać architekturę, która nam służy. Bo dla mnie dobra architektura to taka, która dobrze nas traktuje, która sprzyja dobremu samopoczuciu, jest po prostu wygodna i przyjazna. Dlatego właśnie w książce znalazły się rozmowy z ekspertami, architektami czy samorządowcami, którzy robią coś dobrze, na przekór rytualnemu narzekaniu, że w tej Polsce to nic się nie da zrobić, bo przepisy, bo edukacja, bo ludzie nie mają gustu albo ludzie są chciwi. Oczywiście, w tym wszystkim jest ziarno prawdy, ale okazuje się, że niezależnie od tego, czy ktoś jest inwestorem prywatnym czy publicznym, czy jest znanym czy nieznanym architektem, to jeśli naprawdę chce zrobić coś dobrze, to w ramach tego samego systemu potrafi zrobić dobrze. Chciałem więc wyciągnąć dobre, krzepiące przykłady. Nie po to, żeby malować trawę na zielono, tylko po to, żeby pokazać, że czego warto brać przykład.

A co pana najbardziej boli, kiedy patrzy pan na to, jak się dzisiaj żyje?

Najbardziej boli mnie to, że w Polsce buduje się bardzo dużo, bo niewątpliwie mamy boom inwestycyjny na każdym polu: od dróg i infrastruktury transportowej, przez komercyjną zabudowę, po mieszkania czy inwestycje kulturalne, ale buduje się bardzo rabunkowo, jeśli chodzi o zasoby. Niszczy się krajobraz, miasta rozlewają się



Grzegorz Piątek: Wydaje mi się, że ważne jest właśnie to mieszanie perspektyw, nie tylko architektów i inwestorów, ale także użytkowników. Chciałem, tam gdzie potrafiłem, pokazać, jak ludzie tej architektury używają, co o niej sądzą. Bo uważam, że to jest najważniejszy, ostateczny i najbardziej bezwzględny test architektury

w nieskończoność, pochłaniają kolejne tereny zielone, które nigdy wcześniej nie były zabudowane. Tracimy bezpowrotnie pewne zasoby, walory krajobrazowe, niszczymy przyrodę. I to są zmiany, które będzie bardzo trudno odwrócić. I ten chaos, bardziej niż chaos estetyczny, tylko taka rabunkowa gospodarka przestrzennia boli mnie najbardziej.

To poproszę o konkretne przykłady.

Choćby budowa ogromnych osiedli i deweloperki na przedmieściach, o czym piszę w książce. Powoduje to, że zabudowuje się tereny zielone czy tereny rolne, że się je zabetonowuje. A jednocześnie też tysiące ludzi skazuje się na codzienne, bardzo długie dojazdy, samorządy z kolei na konieczność budowy zupełnie nowej infrastruktury w miejscach, w których do tej pory nie była potrzebna. Zamiast budować w bardziej centralnych lokalizacjach, gdzie są jeszcze wolne tereny. Zamiast tego stawia się osiedla na obrzeżach. A to na dłuższą metę jest bardzo szkodliwe. Takim przykładem jest dla mnie Gdynia. Gdynia jest piękna, dobrze urządzona i wygodna do życia, a mimo to ubywa z niej ludności. Tymczasem jedną z najszybciej rosnących gmin w Polsce jest wiejska gmina Kosakowo, położona na północ od Gdyni. Podobnie jest zresztą w Warszawie. Niedawno przeczytałem, że w przyszłym roku Piaseczno ma przekroczyć 100 tysięcy mieszkańców, podczas gdy Śródmieście Warszawy spadło już poniżej tej liczby. Miasta zamieniają się więc w takie obwarunki, coraz bardziej puste w środku. Często są pięknie odremontowane, ale puste.

Są państwa, które dbają o to, by centra nie zamieniały się tylko w biznesowe miejsca wymarłe wieczorami. Takim przykładem jest dla mnie Doha, stolica Kataru, gdzie wśród super nowoczesnych wieżowców są i banki, i sklepy, są również mieszkania dla ludzi.

Tak, właśnie tak uważam i mam nadzieję, że i nas czeka coś podobnego, czyli dogęszczanie centrów miast, nie w sensie fizycznego zagęszczenia zabudowy, ale po prostu powrotu mieszkań do śródmieść. Żeby centra nie były luksusowymi witrynami, przeznaczonymi tylko do podziwiania, dla turystów albo dla tych, którzy przyjadą na weekendowy spacer. I nie tylko dla najbogatszych, którzy stać na kupno najdroższych w centrum apartamentów. Chodzi o to, żeby w śródmieściach żyli ludzie. A to się nie stanie, jeśli w centrach nie

będą powstawały tanie mieszkania.

Co mimo wszystko daje panu nadzieję?

Nadzieję daje mi to, że nie tylko o tym dyskutujemy, ale że powstaje więcej dobrych mieszkań komunalnych, TBS-ów, czyli mieszkań budowanych nie dla zysku, przy wsparciu samorządów i z dotacjami państwowymi. W książce podaję przykłady takich działań. To Sopot, który się przestraszył, że się wyludnia, bo jest bardzo drogi, więc zaczął budować mieszkania komunalne. Ale też prężnie działające TBS-y w Katowicach czy w Szczecinie; tam jest największy polski TBS. To mnie napawa nadzieją, że są też miasta w Polsce, jak Włocławek, gdzie lokalne władze zrozumiały, że nie można wszystkiego zostawić rynkowi. I powstaje architektura często bardzo skromna, nie roszcząca sobie pretensji do wielkości, ale po pierwsze zrobiona porządnie, a po drugie przeciwdziałająca bardzo szkodliwemu wyludnianiu miast.

Wracając do świątyni, to czy ona w ogóle może istnieć bez Boga, pana zdaniem?

Świątynie to budynki kultowe, przestrzenie, w które społeczności wkładają ogromny wysiłek. Powstają wielkim nakładem pracy i środków, nawet wtedy, gdy ludzie są bardzo biedni. Ponieważ mają potrzebę duchową, potrzebę uczestniczenia w czymś większym. Czasem też, oczywiście, potrzebę pokazania się przed innymi, zamanifestowania swojej pobożności. W każdym razie są to budynki, które służą duchowym potrzebom i z czysto materialistycznego punktu widzenia są czymś niepotrzebnym. Świątynie i inne prestiżowe budynki nadal będą powstawać, ale jednocześnie żyzyłbym sobie, żebyśmy taką samą troską otaczali to, co służy naszej codzienności: to, co nas uszczęśliwia lub unieszczęśliwia każdego dnia, co nas otacza, dotyka, co wpływa na nasze życie w najprostszy, najbardziej ludzki sposób.

KSIĄŻKA



Grzegorz Piątek, „Świątynia i śmietnik. Architektura dla życia”, Wydawnictwo: W.A.B.

– Dąb Bartek wygląda dziś monstrualnie i przerażająco. Trzeba dać mu się rozpaść i potem badać, co się z nim dzieje
– mówi Łukasz Misiuna, ornitolog i działacz ekologiczny, o przyrodzie i jednym z najstarszych drzew w Polsce

Mateusz Bolechowski

DAJMY DĘBOWI BARTKOWI GODNIE UMRZEĆ

Minęły dwa lata od zmiany władzy w Polsce. Obecna w kampanii wyborczej podnosiła tematy ochrony przyrody. Coś się faktycznie zmieniło na lepsze? Dziś na cenzurowanym są leśnicy i myśliwi.

Tak, ale leśnicy i myśliwi mają silną pozycję, reprezentację i rozmaite instrumenty do realizacji swoich polityk. Byli i są stroną w kształtowaniu systemu ochrony przyrody w Polsce. Teraz organizacje ekologiczne i stowarzyszenia przyrodnicze też. Doprowadzono do równowagi. Jeśli chodzi o leśników – cóż, wreszcie można ich krytykować. Nie musimy się we wszystkim zgadzać.

Zasłała jakaś pozytywna zmiana w Ministerstwie Środowiska?

Ministrowie środowiska w poprzedniej władzy byli mocno krytykowani i to nie bez racji. Co do działań obecnych – wśród osób, które interesują się przyrodą, jest rozczarowanie inercją i chaotycznymi działaniami.

Co z Zielonym Ładem? Miała być epokowa zmiana, dziś o nim cicho.

Na potrzeby ostatniej kampanii wyborczej wszyscy wypowiadali się przeciwko Zielonemu Ładowi. Pomimo że to nie są kompetencje prezydenta. Ale miło by było, gdyby prezydent skierował do sejmu projekt ustawy o parkach narodowych. W końcu chodzi o ochronę polskiej przyrody. Co do samego Zielonego Ładu, pewnie można go przemodelować. Jednak w sytuacji zagrożenia wojną i kryzysu ochrona środowiska raczej nie będzie popularnym tematem wśród polityków.

Tyle mówiono o stawianiu na auta elektryczne. Tymczasem, kiedy Chińczycy zaczęli oferować je znacznie taniej niż europejskie koncerny, szybko wprowadzono dodatkowe cła na import. Naprawdę, chodzi o ekologię?

Jeśli chodzi o samochody elektryczne, one w ogóle nie mają pozytywnego wpływu na środowisko. Surowce do produkcji baterii pozyskane są w brutalny sposób w tak zwanych krajach Trzeciego Świata, bez zwracania uwagi na przyrodę czy prawa człowieka. Nie jestem zwolennikiem aut elektrycznych, powinniśmy stawiać na rozwój komunikacji zbiorowej, w szczególności kolei.

Podobno „planeta się pali”. Kończący się rok wskazuje, że chyba jednak nie.

Wykresy i wskaźniki są jednoznaczne. Temperatura szybko rośnie, przykładem są ginące lodowce w Alpach. W Tatrach śniegu było mało nawet zimą. Od kilku lat trwają ekstremalne susze, czego doświadczamy również w Polsce. W perspektywie ostatnich kilkudziesięciu lat rok 2025 to wyjątkowa sytuacja. Jeden chłodniejszy nie jest w stanie zmienić sytuacji. Klimat zmienia się na całej planecie. I nie wszędzie tak samo. W Ameryce Północnej zimy pojawiają się tam, gdzie ich wcześniej nie było, a u nas prawie ich nie ma. Patrząc na stan wód, wysychające rzeki i jeziora, można się spodziewać, że nasz kraj będzie coraz bardziej przypominał step.

Pana zdaniem faktycznie mamy dziś do czynienia z kolejnym „wielkim wymieraniem gatunków”?

Ekosystemy związane z wodami giną. Na Polskiej Czerwonej Liście Ptaków znajduje

się wiele gatunków, jak gawrony, pokląskwy czy słowiki, których liczebność spada na łeb na szyję. To ma miejsce we wszystkich grupach organizmów. Tempo zmian klimatycznych podsyćcane jest czynnikami ludzkimi. Na skutek ogromnych migracji ludzi wraz z nimi przenoszą się i gatunki zwierząt i roślin. Owszem, jedne gatunki zastępują inne, ale rzeczywiście mamy do czynienia z monstrualnym tempem ginienia gatunków. Europa nie jest jeszcze w złym stanie, szczególnie wschodnia. Także dzięki temu, że Unia Europejska wprowadza służące ochronie zwierząt akty prawne, choćby dyrektywę ptasią i siedliskową oraz system obszarów chronionych Natura 2000, która dużo zmieniła na lepsze.

Owszem, z Polski wycofują się gatunki preferujące chłodniejszy klimat, za to mamy coraz więcej tych z południa. Choćby czapli białych, żołą czy modliszek. Nie przywieźli ich ze sobą imigranci. Może po prostu trzeba pogodzić się z faktem, że klimat się zmienia i do tego przystosować?

Mitygacja i adaptacja do zmian klimatu są nieodzowne. Niestety, na poziomie rządów nie wygląda to dobrze. Na przykład sprawa unijnego rozporządzenia o zapobieganiu globalnemu wylesianiu (projekt rozporządzenia unijnego EUDR), gdzie między innymi polski rząd bardzo opieszale zabiera się za jego implementację do polskiego systemu prawnego. A to narzędzie, które realnie może wpłynąć na zmniejszenie tempa globalnego wylesiania. Tak, niektóre gatunki pojawiają się u nas spontanicznie, w związku ze zmianami klimatycznymi. Wiele jednak

zostało do nas celowo sprowadzonych, niektóre są uciekierami z niewoli, inne przypadkowo się tu znalazły na przykład z towarami sprowadzanymi z całego świata. Nie do końca jest też tak, że wycofują się gatunki lubiące chłodniejszy klimat. Klimat to nie tylko temperatura. Gatunki inwazyjne szybko wypierają rodzime i ich obecność prowadzi do głębokiej przebudowy ekosystemów z bardzo złożonych do uproszczonych. Tak tracimy różnorodność biologiczną z całymi sieciami powiązań między różnymi organizmami. A ta różnorodność biologiczna i sieci ekologiczne są swoistym układem immunologicznym planety. Ten system chroni też nas.

Jeszcze co do dyrektywy ptasiej. Za gatunki łowne uznaje ona 82 rodzaje ptaków. W naszym kraju od stycznia będzie można polować na 8 gatunków, pięć wyłączono z listy, choć nie uznano ich za gatunki chronione. We Francji strzela się do 63. Ma to sens? Przecież to „nasze”, ginące kuliki i rycyki, które zgodnie z prawem są zabijane, gdy odlecają na zachód.

Gatunki ptaków wykreślone z listy gatunków łownych notują słabki i głębokie spadki wielkości swoich populacji w Polsce i często na całym kontynencie. W czasie polowań na ptaki nierzadko dochodzi do pomyłek i zabijania gatunków skrajnie rzadkich, bo w warunkach na przykład wieczornych polowań na kaczki, które często latają w wielkich, wielogatunkowych stadach, myśliwi nie są w stanie poprawnie oznaczyć gatunku. To nie są ornitologowie. Przede wszystkim jednak myślistwo stało się sportem nierzadko dla osób, które nie bardzo wiedzą, co zrobić ze

Głos Dziennik Pomorza
Piątek, 7.11.2025

swoim życiem, jak je urozmaicić, uczynić ciekawszym. Zabijanie ptaków tylko z tego powodu nie ma najmniejszego uzasadnienia. Głowienki czy jarząbki nie mają żadnego negatywnego wpływu na środowisko i inne gatunki, nie stanowią też zagrożenia dla gospodarki człowieka. Przyjemność czerpana z zabijania to patologia. A to, że Francuzi strzelają do naszych ptaków... cóż. Polscy europosłowie mają narzędzia, żeby zając się tym na poziomie Unii Europejskiej.

Ekolodzy biją na alarm, że natura ma się źle, ale nawet laik widzi, że dzikich zwierząt, szczególnie tych dużych, jak dziki, jelenie, łosie i wilki jest nieporównanie więcej, niż kilka dekad temu.

Dzików faktycznie jest więcej, ale to efekt oddziaływania człowieka i zmian klimatu. Zamiast jednego miotu, dziki mają cztery w roku. Jest cieplej, więc łatwiej im przetrwać zimą, mają też więcej pokarmu, który coraz częściej znajdują w miastach. Wzrost liczebności łosi i wilków to efekt objęcia ich ochroną. I to okazało się skuteczne. Populacja dzików rośnie głównie ze względu na negatywne zmiany, jakich ludzie dokonali w uprawach rolnych. Drugi czynnik to łagodne zimy. Nie dochodzi jednak do wzrostu populacji głuszcza, cietrzewia. Znikają kuropatwy i zające. To nie jest tak, że wszystkich zwierząt jest coraz więcej. Wiele wyspecjalizowanych gatunków znika. Zwykle w związku z aktywnością człowieka.

Populacja wilków w Polsce szybko rośnie. Już widać, że odczuwają coraz mniejszy lęk przed człowiekiem. Wielu myśliwych twierdzi, że to tylko kwestia czasu, kiedy dojdzie do tragedii.

Ostatnio opublikowane badania jednoznacznie wskazują, że wilki unikają ludzi. Kilka razy spotkałem wilka, zawsze z odległości kilkuset metrów i te zwierzęta za każdym razem schodziły ze ścieżki. Znacznie groźniejsze są sfory wiejskich psów. Oczywiście, może dochodzić do różnych sytuacji. W Azji tygrysy polują na ludzi, wilki to też drapieżniki. Dzikie zwierzęta atakują ludzi wówczas, kiedy nie mają możliwości wycofania się, może z wyjątkiem niedźwiedzi. Jako gatunek zajmujemy coraz nowsze obszary, nie pozostawiamy dużych terenów dla natury. Fragmentacja powoduje, że dochodzi do konfliktów.

Jak rozwiązać ten problem? Może strzelać.

Można strzelać do dzików i to jest robione, a mimo to ich populacja nie maleje. Nie mam

pojęcia, co z tym zrobić. Chyba nauczyć się z tym żyć. Nie można demonizować zagrożenia naturą. Wilków jest w Polsce dwa tysiące, może więcej. Ludzi – 38 milionów. Tak jak tornada zabijają ludzi, tak i zwierzęta. To normalne w naturze. Znacznie więcej ludzi ginie z rąk innych ludzi niż zwierząt. Skala ryzyka jest nieporównywalna. Coraz powszechniejsze jest zjawisko lęku ludzi przed przyrodą. To wynaturzenie. Edukacja przyrodnicza powinna być elementem naszego systemu. W Norwegii dzieci od kilkuletki są uczone kontaktu z przyrodą bez względu na pogodę. Spędzają wiele czasu na łonie natury. To norma, a nie ekstremalna przestroga raz na pół roku. Ponadto nie ma od dekad w Polsce udokumentowanych przypadków śmierci człowieka na skutek ataku wilka. Są natomiast przypadki zagryzienia ludzi przez psy. Nie tylko bezpańskie.

W krajach skandynawskich ojcowie uczą swoje dzieci łowić ryby, a potem je zabijać, patroszyć i przyrządzać, by potem zjeść. W wielu krajach pod okiem rodziców nastolatki mogą polować i zdobywać pożywienie. W Polsce ojcu – myśliwemu nie wolno zabrać na polowanie syna, który jest prawie dorosły.

Polowanie to był kiedyś rytuał, nie morderstwo z zimną krwią. W wielu kulturach, gdzie łowiectwo było ważną częścią kultury i umożliwiało przetrwanie, obowiązywały rytuały, w czasie których myśliwy wyrażał głęboką wdzięczność upolowanemu zwierzęciu w związku z tym, że poświęciło swoje życie i myśliwy z rodziną może przeżyć. Dla niektórych może to być trauma, ale dobrze opowiedziane, wyjaśnione, uczciwe, nie musi być wstrząsające. Dobrze wiemy, że polowanie to wcale nie najbardziej kontrowersyjna rzecz, jaką robią nastolatki. Myśliwy – to powinien być elitarny zawód, a nie dla każdego, kogo na to stać. Myśliwi chcą selekcjonować, sami powinni być poddawani selekcji. Mam na myśli złożone procedury egzaminacyjne.

Czy to nie uczciwsze podejście – potrafisz upolować zwierzę, zdobywasz zdrowe, pełnowartościowe mięso? Dziś od morderców i zwyrodnialców myśliwych wyzywają ludzie, którzy w marketce kupują zapakowane tuszki w promocji?

W sklepach jest coraz więcej jedzenia z domieszką dzicyzny. Nie jestem tego przeciwnikiem. Znacznie mniej szkodzi dla przyrody jest pozyskiwanie dzicyzny od masowej hodowli bydła, które jest



FOT. 123RF

Dąb Bartek rośnie blisko wsi Bartków w Świętokrzyskiem. Ma ok. 650-680 lat, choć niektórzy eksperci jego wiek szacują nawet na 1200 lat. Drzewo liczy niemal 30 metrów wysokości, a jego obwód to blisko 10 metrów. W 1954 r. został wpisany na listę pomników przyrody

pod każdym względem nieakceptowalne. No i nie wydaje mi się, żeby każdy obywatel tego kraju był w stanie sam polować. Wiele tego nie chce, nie akceptuje. Problemem jest skala konsumpcji i niemal nie-pohamowane potrzeby ludzkości. Ani masowe myślistwo, niczym niemal nie regulowane, ani masowy chów zwierząt to nie są dobre rozwiązania. Ani dla środowiska, ani dla zwierząt, ani dla ludzi.

Odniośł Pan sukces. Batalia o utrzymanie Świętokrzyskiego Parku Narodowego jako całości, bez oddania zakonowi oblatów szczytu Łysca została wygrana. Trwała ponad 5 lat, a zaczęło się jeszcze wcześniej. Łysiec to jeden z cenniejszych tego typu obiektów w Europie, gdzie elementy kulturowe i przyrodnicze się łączą. Na Świętym Krzyżu bywali polscy królowie. Miejsce nasączone znaczeniami i symbolami stało odebrane społeczeństwu i podarowane zakonnikom. Nie istniały żadne przesłanki, by ten obszar wyłączać ze Świętokrzyskiego Parku Narodowego. Przez lata starałem się to wykazać. Ministrowie z Suwerennej Polski za pomocą instytucjonalnej przemocy, z manipulacją prawa, a nawet kłamaniem w żywe oczy, wyłączyli szczyt Łysca z granic parku. Ministerstwo próbowało wykazać, że ta część bezpowrotnie utraciła walory kulturowe i przyrodnicze. Zgodnie z prawem obydwie przesłanki mu-

siały nastąpić jednocześnie i bezpowrotnie. A rzecz jasna nie nastąpiły, co wykazały badania naukowe. Jest projekt nowego rozporządzenia, w którym obiekty i teren są wpisane jako integralna część Świętokrzyskiego Parku Narodowego. Sądzę, że wkrótce zakończy się batalia o Łysiec. Dużo mnie to kosztowało, nie tylko czasu. Walkę prowadziłem obok własnej pracy zawodowej. Projekt rozporządzenia przywracającego prawo w Świętokrzyskim Parku Narodowym czeka już tylko na podpis premiera Tuska.

Dostał Pan za to nagrodę. Odznakę honorową Za Zasługi dla Ochrony Klimatu i Środowiska, od ministra. To było zaszczyt, bo prawdę mówiąc, nawet nie wiedziałem, że takie odznaczenie istnieje. To miłe wyróżnienie, choć gratyfikacja finansowa też by była miła, bo jako organizacja społeczna, Stowarzyszenie Most, które prowadziło sprawę, wykonywało pracę, która należała do instytucji państwowych.

Czyli piękne „Bóg zapłać”. Co ciekawe, to samo odznaczenie otrzymał nowy superior ojców Oblatów. W miłej atmosferze zjedliśmy obiad i rozmawialiśmy o tej sytuacji.

Organizacje ekologiczne często są krytykowane za branie pieniędzy na swoją działalność z zagranicy. Skąd Pan brał?

Z Fundacji Batorego, ze środków norweskich, szwajcarskich, Liechtensteinu. W tej sprawie, moim zdaniem absolutnie ważnej dla Polaków, istniało ryzyko, że ten przypadek będzie wykorzystywany wobec innych parków narodowych i rezerwatów. Skoro zakonnicy mogą, dlaczego nie biznesmeni? Ten casus mógł pociągnąć lawinę. Walczyliśmy o zachowanie istniejącego prawa.

Czym się Pan aktualnie zajmuje? Jestem pracownikiem Muzeum Archeologiczno-Przyrodniczego w Ostrowcu Świętokrzyskim, odpowiadam za rezerwat Krzemionki Opatowskie i całe krzemionkowskie UNESCO w tej części przyrodniczej. Moim zadaniem jest prowadzenie zabiegów czynnej ochrony - usuwanie gatunków inwazyjnych, badania naukowe, pracujemy nad pierwszą monografią przyrodniczą rezerwatu. Współpracuję z naukowcami różnych specjalności, przebadaliśmy ptaki, nietoperze, motyle dzienne i nocne, organizmy wodne, botanikę. Dziś wiadomo bez cienia wątpliwości, że to teren zasługujący na ochronę. Działalność górnicza, kopalnie krzemienia piasistego, do dziś odciskają swój ślad na przyrodzie.

Tam również stoczył Pan bitwę o naturę. Zaczęło się od pomysłu budowy dużej kopalni wapieni

przy granicach rezerwatu. Nasze badania, w tym geologiczne, wykazały, że pozyskiwanie surowca metodą strażową poważnie zagraża istnieniu unikalnych kopalni o randze światowej, wpisanych na listę UNESCO. Kolejny był pomysł pani burmistrz - budowy wielkopowierzchniowych farm fotowoltaicznych. Tłumaczmy lokalnym władzom, że musi istnieć bufor wokół kopalń, bo jeśli nie, stracimy nie tylko turystów, ale i skompromitujemy się jako kraj. Budowę kopalni wapieni i farmy udało się póki co zatrzymać.

Od niedawna mamy nowy, wielki rezerwat przyrody Naturalne Lasy Bliżynskie. Ponad 3 tysiące hektarów. Fajnie, ale czy to nie powinien być kolejny park narodowy? W Polsce są znacznie mniejsze. Rezerwat powołano mimo protestów samorządów. Trudno nie odnieść wrażenia, że doszło tu do obejścia prawa. Rezerwat, a nie park narodowy powstał dlatego, że do utworzenia parku potrzebna jest zgoda samorządów, a tej by nie było. Moim zdaniem warto było prowadzić szersze konsultacje i rozmowy, dłużej utrzymać muratorium na wycinkę drzew i rozmawiać tyle, ile trzeba. Przy czym nie mam żadnych wątpliwości, że ten obszar należało objąć ochroną. Ma to uzasadnienie naukowe, są

badania naukowe, które to potwierdzają.

Ale na tym terenie była prowadzona gospodarka leśna... To, że wartości przyrodnicze zachowano, może świadczyć o prowadzeniu dobrej gospodarki leśnej. Ale gdyby jej nie było, gatunki puszczańskie miałyby się jeszcze lepiej. Potrzebny do tego jest duży obszar i ciągłość naturalnych procesów. Drzewa powinny naturalnie obumierać, a jest ogromna różnica między lasem w rezerwacie Świnia Góra a lasami wokół, gdzie prowadzono gospodarkę. Uważam, że mamy jako region ogromny potencjał turystyczny, do dziś niewykorzystany. Widzę ogromną szansę na rozwój turystyki w oparciu o rezerwat Bliżynskie Lasy Naturalne. Sam podjąłbym się takiego zadania, to moje marzenie.

W ośrodku Edukacji Ekologicznej w Umianowicach w sezonie lęgowym stracono z budynku gniazda jaskółek, bo brudziły elewację. Wiele chronionych ptaków zginęło. Trzeba nie mieć kompletnie wrażliwości, żeby coś takiego zrobić, nie mówiąc już o wiedzy. Pracownicy takiej instytucji powinni ją mieć. Kompletnie tego nie rozumiem, w takiej instytucji to się nie powinno zdarzyć. W normalnych krajach w takich sytuacjach szefowie podają się do dymisji. Nawet jeśli dyrektor nie jest osobiście winny, to on zatrudnił ludzi, którzy to

zrobili. Z doniesień medialnych wyłania się dość posępny obraz tej sytuacji. Tam doszło do jakichś nadużyć wobec dyrekcji, to polityczna sytuacja. Tyle mam w tej sprawie do powiedzenia.

Latem z dębu Bartek na terenie Nadleśnictwa Zagnańsk odłamał się potężny konar. To jeden z symboli regionu świętokrzyskiego. Jak długo jeszcze pożyje to pomnikowe drzewo?

Dąb Bartek wygląda dziś monstrualnie i przerażająco. Te stalowe liny i podpory... makabra. Jest sztucznie podtrzymywany przy życiu. Pora dać mu umrzeć, wszystko przemija. Edukacyjnie można pięknie pokazać, jak umiera drzewo - symbol. Trzeba dać mu się rozpaść i potem badać, co się z nim, dzieje, jak staje się substratem dla innego życia. Martwych drzew tych rozmiarów w zasadzie nie ma. Nie wiemy, jak taki organizm może posłużyć innym i jak to wygląda. W dzisiejszej rzeczywistości zaprzeczania śmierci, starości to doskonała okazja, by uszanować śmierć tego drzewa. Można dokumentować dzień po dniu, miesiąc po miesiącu i stworzyć fantastyczny film przyrodniczy na ten temat.

Ostatnie pytanie. O organizację Ostatnie Pokolenie. Walczą o planetę czy obrzydają zwykłym ludziom ważne kwestie ochrony środowiska?

Nie znam tych ludzi. Rozumiem przerażenie zmianami klimatycznymi, wielkim wymieraniem, beczynonością polityków, rosnącą konsumpcją. Też się na to nie godzę. Ale niszczenie dzieł sztuki, by zwrócić uwagę na problem, jest przeciwnie skuteczne. Nie uważam, by przyklejanie się do asfaltu było dobre. Chcąc manifestować, trzeba to robić zgodnie z prawem. Nie potrzebujemy, by nas, przyrodników, społeczeństwo postrzegało jako obłąkanych. Trzeba zachować trochę powagi, by poważnie nas traktowano. ©

CV



Łukasz Misiuna
Ornitolog, przyrodnik, współzałożyciel Stowarzyszenia Psychoedukacyjno-Przyrodniczego Most, członek rady redakcyjnej miesięcznika „Dzikie Życie”

Sprawę zabitego z wiatrówki kota i prawomocnego już wyroku dla sprawcy z Chełmna nasza gazeta upubliczniła na początku października. Do głębi poruszyła czytelników i internautów. „Tylko tyle za zamordowanie zwierzaka?!” – to pytanie padało najczęściej.

A może: aż tyle? Bo sprawy takie jak ta z Chełmna, w które nie angażują się żadne towarzystwa ochrony praw zwierząt, kończą się czasem jeszcze łagodniejszymi wyrokami.

– Grzywny za znęcanie się nad zwierzętami, prace społeczne czy pozbawienie wolności, ale w zawieszeniu, za uśmiercenie żywej istoty wcale nie należą do rzadkości w sądach w Kujawsko-Pomorskiem, jak i w kraju – gdy sprawy toczą się po cichu, bez medialnego rozgłosu, bez strony społecznej w charakterze oskarżyciela posiłkowego. Zdecydowanie inaczej wyglądają sprawy i kary dla sprawców wtedy, gdy angażuje się towarzystwo ochrony praw zwierząt czy podobna organizacja, wstępując w rolę wspomnianego posiłkowego oskarżyciela – podkreśla adwokat Anita Engler z Torunia, nazywana w regionie „advokatem od zwierząt”. I podkreśla to z mocą na podstawie bogatego już własnego doświadczenia. Reprezentując jako prawnik animalsów toruńskich czy radziejowskich, walczyła o sprawiedliwe wyroki w różnych sądach województwa. Ma ogląd sytuacji, a w pamięci wiele spraw, których nigdy nie zapomni.

Tu od razu zaznaczmy, że za zabicie zwierzęcia w myśl polskiego prawa grozi do 3 lat więzienia („zwykłe” zabicie, bez np. znęcania się ze szczególnym okrucieństwem).

Jak to było z kotem w Chełmnie?

Do tych bulwersujących wydarzeń doszło na starówce w Chełmnie, przy ul. Wodnej, 1 sierpnia minionego roku. Wtedy to Sławomir C., znajdując się pod wpływem alkoholu, postanowił sobie postrzelać z wiatrówki.

Kim jest ten mężczyzna?

– W krytycznym czasie miał 33 lata (obecnie 34). Był już wielokrotnie karany sądownie i jest osobą dobrze znaną organom ścigania. Ta jego uprzednia karalność zresztą też była dla nas jednym z argumentów w sprawie wysokości kary – nie kryje w rozmowie z nami prokurator Mateusz Wiśniewski z Chełmna.

Za cel strzelania Sławomir C. obrał sobie kota sąsiada. Bez specjalnego powodu. Jak odnotował Sąd Rejonowy w Chełmnie, mężczyzna miał zeznać, że sąsiad i tak już tego kota nie chciał – „chciał się go pozbyć”. Strzelając z wiatrówki, mężczyzna celował prosto w głowę. Uszkodził zwierzęciu mózg i to

ILE JEST WARTO ŻYCIE PSA I KOTA? ANIMALSI W SĄDACH

Dwa miesiące więzienia – taka kara za celowe zabicie kota w Chełmnie spotkała Sławomira C. Mierzył zwierzęciu w głowę, oddał trzy strzały z wiatrówki i uszkodził mu mózg. Podobnie, a nawet jeszcze łagodniej, dla sprawców bestialstwa wobec zwierząt kończą się sprawy, w które nie angażują się animalsi

Małgorzata Oberlan



Zulę – wychłodzoną, wygłodzoną, z krótkim łańcuchem przywiązanym do budy – odebrali z posesji w gminie Inowrocław policjanci i animalsi

była przyczyną śmierci zwierzęcia.

Nie wiadomo nawet, jak ten kot miał na imię. W sprawie sądowej nie pojawiła się żadna organizacja prozwierzęca. Sąd Rejonowy w Chełmnie uznał mężczyznę za winnego celowego uśmiercenia zwierzęcia i skazał go na 2 miesiące więzienia, 3-letni zakaz posiadania zwierząt i 1500 zł wpłaty na cel społeczny. Nie pomogła apelacja prokuratury,

która żądała przynajmniej pół roku więzienia dla sprawcy, dłuższego zakazu i wyższej zapłaty. Rozpatrujący jej odwołanie sędzia Andrzej Walenta z Sądu Okręgowego w Toruniu ani o milimetr kary nie zaostriął. Wyrok się niedawno uprawomocnił i 30 września br. opublikowany został wraz z uzasadnieniem w Portalu Orzeczeń Sądowych.

– Uznajemy tę karę za rażąco zbyt łagodną, ale wyczerpa-

liśmy już ścieżkę odwoławczą – smutno podsumowuje finał sprawy prokurator Mateusz Wiśniewski.

Animalsi w sądach – kary surowsze

Zabity pies Oskar z Ciechocinka, suczka Zula z Inowrocławia, która otarła się o śmierć, i wiele innych – te dramaty adwokata Anity Engler wciąż ma w pamięci. Dla niej i animalsów

to nigdy nie są bezimienne zwierzęta. I dzięki nim także ich imiona poznaje potem opinia publiczna.

Kiedy towarzystwo broniące praw zwierząt, choćby takie jak to w Toruniu czy w Radziejowie, z którymi torunianka współpracuje najściślej, wkracza do sprawy, to pilnowany jest każdy jej aspekt. A finały oznaczają zdecydowanie surowsze kary niż wtedy, gdy animalsów na sali sądowej brak. Przykłady?

Sierpień bieżącego roku, Sąd Rejonowy we Włocławku wydaje wyrok dla Zbigniewa W. za znęcanie się nad... czternastoma psami! W tym przypadku żadne zwierzę nie zginęło, ale sprawa była bulwersująca. Kara dla starszego mężczyzny z podwrocławskiej wsi: pół roku bezwzględnego więzienia, 10-letni zakaz posiadania zwierząt, przepadek wszystkich 14 psów i 2000 zł nawiązki dla Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Radziejowie.

– I to był finał nas satysfakcjonujący, bo pierwotnie sprawa skończyła się w sądzie tylko wyrokiem nakazowym i karą 1500 złotych grzywny! Wnieśliśmy sprzeciw i wstąpiliśmy w rolę oskarżyciela posiłkowego – podkreśla adwokat Anita Engler.

W takiej samej roli animalsi i prawniczka występowali w głośnej sprawie z Ciechocinka. W 2023 roku Marta Ch. wyrzuciła psa z balkonu z wysokości czwartego piętra. Kundelek Oskar umierał w męczarniach. – Prokuratura żądała dla sprawcy kary 9 miesięcy lat więzienia, a my 2 lat. Sąd ostatecznie skazał tę kobietę na półtora roku pozbawienia wolności. Wiem, że ten wyrok odsiedziała. Pilnowaliśmy tej sprawy bardzo – wspomina prawniczka.

Suczka Zula z Inowrocławia ledwo przeżyła. Wychłodzoną i wygłodzoną, chwiejącą się na łapach z wycieńczenia, z krótkim łańcuchem przywiązanym do budy – w takim stanie odebrali ją z posesji w gminie Inowrocław policjanci i przedstawiciel animalsów. Potem było śledztwo, zarzuty za znęcanie się i wyrok nakazowy w sądzie. Kara? Tylko grzywna.

– W przypadku Zuli też wnieśliśmy sprzeciw i teraz jest standardowy proces przed Sądem Rejonowym w Inowrocławiu. Sprawa jest w toku i w tym przypadku także nie odpuszczimy – zapowiada adwokat Anita Engler. Gdyby animalsi do niej nie wkroczyli, skończyłoby się tylko na wspomnianej grzywnie za długie cierpienia zwierzęcia i doprowadzenie go na skraj śmierci.

Od Kalisza do Braniewa. Oto Polska właśnie

Czy sądy na Kujawach i Pomorzu są jakieś wyjątkowo łagodne dla sprawców znęcania się czy wręcz uśmiercania zwierząt? Czy tylko w tym regionie



Anita Engler nazywana jest „advokatem od zwierząt”

prokuratorom często zdarza się nie przychodzić na rozprawy apelacyjne? Czy tylko tu animalsi pilnują spraw i wyroków? Nie, podobnie sprawa nadal wygląda w wielu miejscach kraju.

W sierpniu minionego roku we wsi Łubna w gminie Czersk gospodarz zabił psa obuchem siekiery. Przed Sądem Rejonowym w Chojnicach tłumaczył swoje zachowanie chorobą zwierzęcia, poprosił o łagodny wymiar kary. Sąd w styczniu tego roku nie wysłał go do więzienia, wskazując m.in., że nie miałby z kim zostawić innych zwierząt.

Zimą ubiegłego roku Stanisław H. zabił psa sztachtetą we wsi koło Braniewa. Zapłaciła mu za to 50 zł właścicielka zwierzęcia. Pani Agnieszka stwierdziła, że Pimpek jest dla niej zbyt uciążliwy i czas się rozstać w ten sposób. Obojga miejscowy sąd skazał w pierwszej instancji na prace społeczne. Tutaj apelowała braniewska prokuratura.

W Kaliszu pijany 26-latek zostawił swojego dobermana w nagrzanym samochodzie w upalny dzień. Wiosną tego roku miejscowy sąd uznał go za winnego znęcania się nad psem ze szczególnym okrucieństwem, za co grozi kara do 5 lat pozbawienia wolności. Sąd wydał wyrok w trybie nakazowym, czyli bez rozprawy, karząc tylko 4 tys. zł grzywny, tysiącem nawiązki na cel społeczny i rocznym zakazem posiadania zwierząt. Apelację od razu wniosła Prokuratura Okręgowa w Ostrowie Wielkopolskim, nie godząc się na taki finał.

To tylko kilka historii, medialnie nagłośnionych.

– O wielu opinia społeczna jednak nie wie, podobnie jak o dziesiątkach wyroków w trybie nakazowym, kończących się tylko grzywnami dla sprawców nawet bardzo drastycznych czynów – nie kryje oburzenia adwokata Anity Engler.

©©

JANOSIK WRÓCIŁ DO CZĘSTOCHOWY

Po dwóch dekadach od śmierci Marka Perepeczki jego prochy zostały złożone w Częstochowie - mieście, z którym był w szczególny sposób związany i zawodowo, i prywatnie

Piotr Ciastek

Marek Perepeczko zmarł w 2005 roku w Częstochowie, gdzie przez wiele lat mieszkał i kierował Teatrem im. Adama Mickiewicza jako jego dyrektor artystyczny. Jako rodowity warszawiak, po śmierci został pochowany na Powązkach, w grobie swoich rodziców. Teraz, po 20 latach, urna z prochami artysty została przeniesiona na cmentarz św. Rocha w Częstochowie. Uroczystości odbyły się w minioną sobotę.

Podczas ceremonii pogrzebowej w kościele na cmentarzu św. Rocha Agnieszka Fitkau-Perepeczko, wdowa po aktorze, mówiła, jak bardzo był nieszczęśliwy w stolicy.

- Częstochowa również chciała mieć Marka, ale ja wtedy byłam uparta i uważałam, że Warszawa także będzie go kochać. Choć Warszawa nie kochała go tak jak Częstochowa. Inaczej - nie mówiąc nic złego o Warszawie - ale Marek w Warszawie był smutny. Był nieszczęśliwy. A jako młody, cudowny, wspaniały człowiek, wspaniały mężczyzna i genialny aktor - po prostu był niedoceniany - mówiła nad trumną męża.

Wdowa odniosła się też do medialnych spekulacji o depresji aktora: - W prasie chętnie piszą, że miał depresję z różnych powodów - i wszyscy wiemy, jakich... Nie. Depresja, mniejsza czy większa, jego smutek narodził się zaraz po „Janosiku”. Popularność wzrosła stukrotnie - ludzie oszaleli - a reżyserzy jakby wstrzymali oddech, producenci odwrócili się od niego. I jako trzydziestodwuletni może człowiek, tak zdolny i tak piękny, nie miał pracy. To był jego dramat.

Częstochowa dała Perepeczce poczucie wartości

- Z tego dramatu wyzwoliła go Częstochowa, ale już był dużo starszy i było na to późno. Ja wiem, co on przeżywał jako młody aktor - bardzo atrakcyjny dla teatru - podkreślała.

Aktorka przypomniała, że Marek ponad wszystko kochał scenę:

- Marek - po staropolsku mówiąc - miłował mnie bardzo. Ale najbardziej na świecie miłował teatr. Teatr, nie kino,



Powtórny pogrzeb aktora odbył się na cmentarzu św. Rocha w Częstochowie

nie sławę, nie fotografów i nie lansowanie się. Marek tego nie cierpiał. To ja pozuję fotografom, bo uważam, że w każdej kobiecie trochę próżności istnieje. Jeśli fotograficy się rzucają z jakiegoś słusznego powodu - nie należy uciekać. A Marek naprawdę tego nie znosił.

Podziękowała także częstochowianom za pielęgnowanie pamięci o legendarnym Janosiku: - Ta ławeczka to sensacja w Australii. (...) Ale ławeczka bije rekordy popularności w kraju i za granicą. Mam setki zdjęć, które ludzie mi przysyłają, jak przytulają się do Marka, całymi rodzinami, z dziećmi. To jest coś niebywałego. I za to z całego serca dziękuję.

Mocno zabrzmiały jej słowa o niechęci do upamiętnienia artysty: - Chciano, żeby o Marku zapomniano. Nie chciano zrobić jego biografii, dokumentu - bo „niepotrzebny”. A ja uważam, że bardzo potrzebny, bo pamięć jest najważniejszym, co mamy.

Wdowa mówiła, że prawdziwa radość wróciła do Marka dopiero w Częstochowie:

- Pierwszy raz uśmiechnął się tak naprawdę, gdy wrócił z Częstochowy i dowiedział się, że będzie grał w Teatrze Mickiewicza. (...) Marek miał niesamowite zdolności komediowe. (...) Nie znałam dru-



Sławę Perepeczce przyniosła tytułowa rola w „Janosiku”

giego tak wszechstronnego człowieka - tak umiającego mówić po polsku, tak dobierać słowa.

Wspomniała też, że dobroć aktora miała swoje korzenie w rodzinie: - Myślę, że ta dobroć była w jego genach. (...) Była jak anioł. Żywy anioł. Małutka kobieta.

Częstochowa pamięta o Perepeczce

Aktor był w Częstochowie niezwykle lubiany. Po jego śmierci pamięć o nim nie zgasła. W 2014 roku przy al. Najświętszej Maryi Panny stanęła ławeczka z jego podobizną, a w 2018 roku jego imieniem nazwano jedną z ulic w śródmieściu. Na pobliskim bloku, w którym niegdyś mieszkał, znajduje się mural przedstawiający go w roli Janosika - roli, która przyniosła mu nieśmiertelną popularność, choć sam aktor przyznawał, że przez wiele lat zamykała mu ona drzwi do innych ról.

Perepeczko to niejedyny znany aktor, który w Częstochowie znalazł swoje miejsce. Na cmentarzu św. Rocha spoczywa już inny były dyrektor artystyczny częstochowskiego teatru - Piotr Machalica. Spoczywa tu także jeden z pierwszych dyrektorów częstochowskiego teatru - Edmund Kron.

Aktor niejednej roli

Marek Perepeczko urodził się w 1942 roku. W młodości chciał zostać architektem, ale w ostatniej chwili zdecydował się na studia w warszawskiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej. - Nakłoniły mnie do tego panie od polskiego - podkreślał. - Ja bym nikogo do tego za mocno nie namawiał - dodawał w czasie naszej rozmowy.

W 1965 roku ukończył szkołę teatralną. W tym samym roku zadebiutował na scenie teatralnej. - Troszkę się zasmuciłem, kiedy doniesiono mi, że już 40 lat jestem na scenie - mówił w połowie października. Nie myślał o hucznych obchodach tego jubileuszu.

- Nie jestem zwolennikiem takich hec. Zagram w Częstochowie przedstawienie z Zofią Merle - mówił.

Cała Polska pokochała Perepeczkę za rolę Janosika w serialu o tym samym tytule.

Kiedy powiedziałem mu, że nad biurkiem redakcyjnej koleżanki wciąż wisi jego zdjęcie z tego filmu, uśmiechnął się. - Niech pan jej powie, żeby sobie powiesiła moje obecne zdjęcie - żartował.

O obsadzeniu Marka Perepeczki w tej roli zdecydował reżyser Jerzy Passendorfer.

- Nie przewidywałem, że serial okaże się po latach kultowy. Mieliśmy w tym okresie wiele bardzo popularnych seriali. Ale to „Janosik” jest nieustająco pokazywany w telewizji. Jak tylko jeden kanał skończy go wyświetlać, to zaczyna drugi. Ten serial lubią dzieci i, co bardziej zdumiewające, również dorośli. Różne pokolenia oglądają go w domach, ludzie trzymają kasety z odcinkami na półkach. A że świat jest teraz okrutnie medialny, to nic dziwnego, że ja na okrągło w domach „siedzę” - mówił w czasie naszej rozmowy.

Rola Janosika okazała się rolą jego życia. Miało to swoje dobre i złe strony. Aktor trochę narzekał, że go zaszklakowano i że nie dostaje innych, ciekawych propozycji. To był jeden z powodów jego wyjazdu do Australii. Głównym powodem był jednak fakt, że mieszkała tam już jego żona. Marek Perepeczko spędził tam kilka lat. Tworzył teatr w środowisku tamtejszej Polonii. Chociaż podobało mu się w Australii, wrócił do Polski. - Wie pan, zmieniać sobie życiorys mogą bardzo młodzi ludzie, ale nie stary dziad! - mówił.

Powrotem w wielkim stylu na polskie ekrany była rola mafiosa w filmie sensacyjnym „Sara”. Dużą popularność przyniósł Markowi Perepeczce udział w sitcomie „13 posterunek”. Przez ponad osiemdziesiąt odcinków grał nieco szalonego Komendanta. - Chociaż to naprawdę dobra rzecz, miałem już tego dosyć i zrezygnowałem - mówił.

W latach 1997-2003 był dyrektorem Teatru Adama Mickiewicza w Częstochowie. W ostatnich miesiącach życia współpracował z Teatrem Dramatycznym im. Jerzego Szaniawskiego w Płocku. Wciąż jednak był związany z Częstochową, tutaj grał, tutaj wynajmował mieszkanie. - Dla moich książek - mówił.

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 32 utworzą rozwiązanie – myśl Wiesława Brudzińskiego.

ROZWIĄZANIE: NIEJEDEN WZÓR SKŁADA SIĘ Z SAMYCH PŁAM.